Świat Młodych

Nr 7 (13), 8—15 KWIECIEŃ 1947

Cena 20 zł



19-letni Zbigniew Rawiński, członek Z. W. M., jest szoferem-praktykantem.

FOTO - PIROTTE.

w numerze
Ilja Erenburg — BIALI i CZARNI



Dnia 28 marca b. r. około godz. 10-ej rano, w czasie inspekcji służbowej, zginął od skrytobójczych kul ukraińskich faszystów UPA, na drodze Sanok — Baligród, generał broni KAROL ŚWIERCZEWSKI, II Wiceminister Obrony Narodowej, były dowódca II Armii, bohater walk o Nysę.

Gen. Świerczewski jest jednym z najbardziej zasłużonych organizatorów Odrodzonego Wojska Polskiego. Z początku jako zastępca dowódcy 1-go Korpusu, a następnie jako członek dowództwa 1-ej Armii, mobilizuje młodzież polską do walki z Niemcami.

Kiedy powstaje 2-ga Armia Wojska Polskiego, dowództwo zostaje powierzone generałowi Świerczewskiemu. Na czele swojej armii gen. Świerczewski przekracza starą granicę polsko-niemiecką: Znamienne są jego słowa, z którymi zwraca się do żołnierzy w drodze do Nysy: „Pamiętajcie, że idziecie po tej ziemi nie tylko jako zwycięzcy, lecz także jako jej gospodarze. Tu jest Polska!"

Po sforsowaniu Nysy w noc z 16-go na 17-ty kwietnia 1945 roku, gen. Świerczewski dociera do Drezna, skąd prowadzi swoją armię na Pragę, biorąc udział w wyzwalaniu bratniej republiki Czechosłowackiej. Wiekopomnym wyczynem 2-giej Armii było powstrzymanie dużego ugrupowania wojsk niemieckich pod Budziszynem i niedopuszczenie do połączenia się ich z okrążonymi pod Berlinem wojskami hitlerowskimi.



Generał Walter-Świerczewski, dowódca 35-tej dywizji armii republikańskiej Hiszpanii.

GENERAŁOWIE MODESTO i CORDON O GEN. WALTERZE

Na pogrzeb gen. Świerczewskiego przybyli m. inn. dawni towarzysze broni generała z okresu walk o wolność Hiszpanii: jeden z organizatorów hiszpańskiej armii republikańskiej gen. Juan Modesto, dowódca armii Ebro i gen. Antoni Cordon, b. wiceminister obrony narodowej Republiki Hiszpańskiej.

Przedstawiciel naszego pisma odwiedził hiszpańskich generałów w Hotelu Sejmowym. Obaj generałowie, zaprawieni w licznych bojach o wolność, są wyraźnie przybici. Widać, że śmierć gen. Świerczewskiego, wielkiego przyjaciela republiki hiszpańskiej, wstrząsnęła nimi do głębi.

Gen. Modesto oświadczył przedstawicielowi naszego pisma, że Dolores Ibarruri (La Passionaria), która nie mogła przybyć na uroczystości pogrzebowe, prosiła go, aby wyraził narodowi polskiemu jej serdeczny żal z powodu śmierci Wielkiego Żołnierza Wolności, jakim był gen. Walter-Świerczewski.

Gen. Walter był jednym z pierwszych ochotników, którzy przybyli do walczącej Hiszpanii. Dowodzona przez niego 35-ta dywizja, w skład której wchodziła brygada im. Jarosława Dąbrowskiego, przejęła wszystkie zalety swego dowódcy: wierność i bezgraniczne oddanie sprawie ludu, odwagę i umiejętność wykonywania choćby najtrudniejszych zadań.

Gen. Modesto podkreśla bezpośredniość gen. Waltera, która zjednywała mu miłość jego żołnierzy. Gdy pytano go, jak daje sobie radę ze swoją różnojęzyczną brygadą, czy nie ma trudności w porozumiewaniu się ze swoimi żołnierzami, odpowiedział, że doskonale się z nimi porozumiewa „tak od serca".

W najtrudniejszych nawet momentach, na pytanie, jak się przedstawia sytuacja, gen. Walter odpowiadał zawsze z niewzruszonym spokojem: „Sytuacja normalna, jak to zwykle na wojnie".

Gen. Modesto oświadcza, że gen. Walter-Świerczewski był jednym z najzdolniejszych i najmądrzejszych dowódców republikańskiej Hiszpanii. Był wrogiem wszelkiego rutyniarstwa w walce. — Pamiętam — opowiada gen. Modesto — jak pod Quinto i Belchite (front aragoński) gen. Walter, wbrew swojemu dowódcy artylerii, który trzymał się niewolniczo regulaminu, ustawił w nocy artylerię na najbardziej wysuniętych pozycjach piechoty i o świcie rozpoczął obstrzał artyleryjski, dzięki któremu obie miejscowości zostały w krótkim czasie zdobyte. Gdyby nie śmiała decyzja gen. Waltera, walki trwałyby o wiele dłużej i pociągnęłyby za sobą dużo ofiar.

Gen. Walter był w armii republikańskiej jednym z najpopularniejszych i najbardziej lubianych dowódców. Ja osobiście — mówi gen. Modesto — zetknąłem się z nim po raz pierwszy w końcu listopada 1937 roku pod Madrytem, gdzie dowodziłem 5-tym korpusem, w skład którego wchodziła 35-ta dywizja. Odtąd łączyła nas serdeczna przyjaźń. Śmierć gen. Waltera odczułem, jak śmierć starszego brata.

Gen. Cordon oświadcza, że gen. Walter wniósł do armii republikańskiej, nie mówiąc już o zaletach osobistych, przede wszystkim walory organizacyjne i wojskowe — to, czego Hiszpanom wtedy najbardziej brakowało. Te świetne walory ujawniły się w całej pełni na froncie południowym pod Antujar (Andaluzja). Gen. Walter w najcięższych sytuacjach nie tracił głowy i na zimno dochodził do najwłaściwszych wniosków. Spotkałem gen. Waltera — mówi gen. Cordon — pod Madrytem, ale dokładnie przypominam sobie spotkanie z nim w marcu 1937 roku na froncie południowym przy zdobywaniu Pozo Blanco. Byłem wtedy szefem sztabu armii wschodniej. Pamiętam, że gen. Walter był u mnie w nocy — zadziwiły mnie wtedy rozwaga i spokój, z jakim generał omawiał sytuację na froncie.

Naród hiszpański kocha gen. Waltera. Każdy republikanin odczuje śmierć jego, jako dotkliwą stratę dla armii hiszpańskiej.

FOTO JARACZEWSKI.



Członkowie Rządu i generalicja niosą trumnę ze zwłokami gen. Świerczewskiego na lawetę armatnią.



Mieszkańcy Warszawy oddają ostatni hołd generałowi Świerczewskiemu — kiedyś robotnikowi z Woli.



W żałobnym kondukcie postępują delegacje z zagranicy: generałowie Modesto i Cordon, za nimi generałowie francuscy.



Młodzież polska żegna bohatera.



Rudolf Hoess, b. komendant obozu w Oświęcimiu.

KONIEC BESTII

2 kwietnia 1947 r. Najwyższy Trybunał Narodowy skazał Rudolfa Hoessa, komendanta obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, na karę śmierci i utratę praw publicznych i honorowych.

Opierając się na materiale dowodowym, ujawnionym w toku procesu, Trybunał uznał Hoessa winnym przynależności do przestępczych organizacji SS i NSDAP, których celem było ujarzmienie i wytępienie innych narodów.

Trybunał uznał także, że Hoess winien jest śmierci ponad 300.000 więźniów obozu w Oświęcimiu oraz nie mniej niż 2,5 miliona innych ludzi, głównie Żydów i jeńców wojennych. Masowe morderstwa dokonywane były przy pomocy gazu trującego, przez powieszenie, rozstrzelanie, śmiertelne zastrzyki, systematyczne głodzenie i przez wytworzenie szczególnych warunków życia obozowego, powodujących powszechną śmiertelność.

Nadto Rudolf Hoess uznany został winnym fizycznego i moralnego gnębienia więźniów oraz grabieży mienia pomordowanych, przede wszystkim tych, którzy wprost z wagonów pociągu szli do komór gazowych.

Wyrok Najwyższego Trybunału Narodowego jest ostateczny. Rudolf Hoess zakończył swoją ponurą karierę bestii.



Świadek Józef Cyrankiewicz, Premier Polski.



Świadek Adam Kuryłowicz, sekretarz generalny KCZZ.



Świadek czechosłowacki, Prokurator trybunału ludowego w Pradze.



Najwyższy Trybunał Narodowy.



Obserwatorzy radzieccy na procesie.

Szkice z sali sądowej Mieczysława Kościelniaka.

WSPOMNIENIE

Rok 1944 był dla obozu w Oświęcimiu przełomowy. SS-mani słuchając potajemnie radia londyńskiego całą swą wściekłość wyładowywali na więźniach. Byliśmy ostrożni i czujni, bardziej, niż zwykle. Osławiony oddział polityczny wypuścił na obóz zgraję szpicli, którzy wszędzie zapuszczali swoje macki, podsłuchując rozmowy i obserwując podejrzanych więźniów.

Od kilku tygodni przychodził do nas po wieczornym apelu młody, liczący około 30 lat belgijczyk. Uczył nas potajemnie angielskiego. Leon przede wszystkim pochłaniał wiadomości radiowe, dopiero potem rozpoczynał lekcję. Lekcja kończyła się zawsze tak samo: omawianiem sytuacji na frontach i stwierdzeniem, że wojna już na pewno się kończy, że już bliski koniec męki.

Leon następnie na małej karteczce zapisywał drobnym maczkiem cenne wiadomości. Ktoś z bijącym sercem czekał codziennie na ten pokarm duchowy. W obozie kobiecym w Brzezinkach wypatrywała co dzień gońca żona naszego nauczyciela. Wiedzieliśmy, że Leon dzielił się z nią każdym „zorganizowanym" ziemniakiem i każdą zdobytą od nas dobrą wiadomością. Skarby te przenosiła do obozu kobiecego żydówka słowacka z politycznego oddziału, delegowana codzień do „Birkenau" w celu dokonywania opisu włączonych do obozu, niezagazowanych resztek węgierskich Żydów.

Pewnego dnia więźniarka ta zachorowała i zleciła doręczenie listu innej, która skwapliwie podjęła się zastąpienia chorej w jej czynnościach.

Minął znojny, letni dzień, oddziały przy dźwiękach orkiestry maszerowały przez bramę obozową, gromadząc się następnie przy swoich blokach na wieczorny apel.

Blok 16-ty był nieco nerwowy. Krążyły jakieś nowe wiadomości. Pisarz bloku, Czech, oczekiwał nas widocznie, gdyż zaraz po ustawieniu nas w szeregi zbliżył się i oświadczył, że nasz Belgijczyk Leon nie będzie dziś na wieczornym apelu.

Zaraz po apelu koledzy opowiedzieli nam, co się stało.

W godzinach rannych zjawił się w „Barbüro" unterscharführer Lechman i zabrał Leona do politycznego oddziału. Tam pobladłemu z trwogi przeczytano jego własny list, pisany do żony w Brzezinkach.

Usłużna więźniarka zaniosła kompromitujący list do politycznego oddziału. Leon czuł, że jest zgubiony. Skatowanego i pokrwawionego, prawie nieprzytomnego zakuto w kajdany, odprowadzono na blok 11-ty do ciemnicy.

Na próżno Lechman bił go, znęcał się nad nim, kopał leżącego w głowę, na próżno namawiał — chciał tylko wiedzieć, kto podawał wiadomości z BBC, kto kolportował wiadomości, że armia radziecka stoi u granic Polski, że Eisenhower zajął już prawie całą Francję, wreszcie — kogo uczył angielskiego? Słaniający się na nogach, bity i maltretowany Leon odpowiadał tylko jedno: „Nie powiem".

Nie można było spać tej nocy. Wiedzieliśmy, co znaczy aresztowanie kolegi. Żeby tylko wytrwał, żeby przetrzymał bicie, ocalił nas, a przede wszystkim naszą placówkę informacyjną...

Nastąpiła męka oczekiwania. Godziny pracy wlokły się straszliwie. Nadzieja walczyła z trwogą.

Nareszcie skończył się dzień, minął i drugi dzień, potem trzeci. Czwartego dnia dowiedzieliśmy się, zdumieni i uradowani, że Leon został zwolniony z ciemnicy.

Zaraz po kolacji zbliżył się do mnie jakiś więzień, wcisnął mi do ręki złożoną karteczkę i zniknął. Ostrożnie rozwinąłem papier. Treść kartki brzmiała.

— Nie zbliżajcie się do mnie pod żadnym pozorem, śledzą mnie. Nie wydam was. Pamiętajcie o mojej żonie.

Leon.

Patrzyliśmy na niego ukradkiem. Spuchnięty, okaleczony, kulejąc wlókł się do bloku i z trudem gramolił się na pryczę.

Żal ściskał serce.

Kolega Michał dopadł go jednak w ustępie. Leon przerażony powtórzył ostrzeżenie.

— Pamiętaj, — szeptał, — jestem oficerem belgijskiej armii, jej przysięgałem, wojna trwa, ja walczę. Niczego ze mnie nie wydobędą. Uciekaj, bo nas obserwują!

Plan politycznego oddziału nie udał się. Po kilku dniach zabrano Leona znowu na tortury. Tym razem badania trwały krótko. O godzinie w pół do dziesiątej stał już nagi pod czarną ścianą bloku 11-go, ręce miał skrępowane drutem kolczastym do tyłu. Powoli zbliżył się do niego z karabinkiem oberscharführer Stiebitz.

Wspominając go dziś, my, którzyśmy przeżyli, ze czcią chylimy głowy przed cieniem kolegi - bohatera. Nie wydał nas.

Więzień Oświęcimia Nr 15.281.

Mieczysław Kościelniak





OŚWIĘCIM — rys. Mieczysław Kościelniak.

ODDAJEMY GŁOS CZYTELNIKOM „ŚWIATA MŁODYCH"

Rozmawiałam raz z przybyłym niedawno ze wsi młodym murarzem. „Przyjemnie chyba tak bezpośrednio przyczyniać się swoim zawodem do budowy nowej Polski, do utrwalenia demokracji" — zauważyłam. „Hm, mruknął, demokracji...? Szczerze mówiąc nie myślałem o tym, po prostu pracuję, bo przecież trzeba żyć i ubrać się, tylko czasami, wie Pani — człowiekowi dobrze, gdy sobie wyobrazi, że spod moich rąk wyjdą kolorowe domy, w których ludzie będą mogli sobie szczęśliwie żyć..."

Potem spotkałam niedużego gońca. Przez 8 godzin biega po mieście dla „załatwienia spraw". Po obiedzie idzie do szkoły dokształcającej. Wieczorem „na lokatornem" gdzieś w kącie u praczki odrabia lekcje. Czasem popatrzy przez zaszłe parą okienko na ciemne niebo i pomyśli o swojej przyszłości, pięknej jak baśń, o przyszłości, w której on, biurowe „popychadło", zostanie najlepszym krawcem w Warszawie. Zjadą się wtedy do Warszawy turyści z całego świata — tak, jak do Paryża...

Te dwa spotkania stały się zaczątkiem mojej „Ankiety". Czym chcę być? Jakie muszę pokonać trudności? Jakie zło widzę koło siebie i co dobrego?

Rozmówcy moi nie byli moimi znajomymi. Spotykałam ich przypadkowo na ulicy, w warsztacie, w korytarzach urzędów i szkół. Wypowiedzi ich są szczere, bo nieprzygotowane. Pozostawiam je bez zmiany.

„Ankieta" będzie kontynuowana i w dalszych numerach. Łamy naszego pisma oddajemy do Waszej dyspozycji. Piszcie, dyskutujcie. Dajcie poznać Wasze pragnienia i biedy, Wasze poglądy i zamiary na przyszłość

Julia Pirotte.



19-letni Zbigniew Rawiński, członek Z. W. M., jest szoferem-praktykantem. Cały dzień spędza w warsztacie samochodowym. Nie jest łatwo poznać maszynę, nauczyć się obchodzić z każdą jej najdrobniejszą cząstką.

— Chciałbym — mówi Rawiński — ukończyć szkołę lotniczą i stać się wykwalifikowanym monterem. Trudności materialne są wielkie, mam na utrzymaniu matkę, czasem zdaje mi się, że nie dam sobie rady z tym wszystkim... Ale przecież państwu zależy na dobrych robotnikach, więc chyba dopomogą.



Bartłomiej Eugeniusz ma lat 16. Rodziców stracił w powstaniu. Jest na świecie sam jeden, jak palec.

Kiedyś marzył o tym, by latać po niebie. Chciał być dobrym lotnikiem, ale nie wiedział, jak trzeba się do tego zabrać. Dziś czuje się w swoim kominiarstwie zupełnie szczęśliwy. Lubi latać po dachach i patrzeć z góry na maleńkich ludzi — „prawie jak z aeroplanu".

Co chciałby robić w najbliższej przyszłości? Przede wszystkim ukończyć szkołę kominiarską i stać się wykwalifikowanym czeladnikiem. Ma jednak wielkie zmartwienie, bo majster, u którego mieszka i pracuje, mówił, że kominiarstwo ma zostać upaństwowione, a wtedy sytuacja młodych praktykantów ulegnie znacznemu pogorszeniu — nie dopuszczą ich do czeladnictwa.

To nie jest prawda. Tłumaczę 16-letniemu kominiarzowi, że właśnie państwu i przede wszystkim państwu zależy na tym, by tacy, jak on, jak najszybciej posiedli kwalifikację, niezbędne do samodzielnego wykonywania zawodu. Czy nie słyszał nic o kampanii, jaką prowadzą organizacje młodzieżowe, by czas praktyki w rzemiośle skrócić do lat dwóch? By skończyć z samowolą majstrów?

Tak, Geniek Bartłomiej słyszał o tym. Słyszał również o organizacjach młodzieżowych. Nie należy dotąd nigdzie. Nie ma czasu — i nie wie, którą wybrać. Tyle ich jest. — Dlaczego nie zrobią jednej organizacji, dla wszystkich młodych, nie byłoby kłopotu — mówi. I pewnie ma rację.

Gruda Juliusz, lat 17, jest uczniem IV kl. gim nazjum. W odpowiedzi na naszą ankietę pisze:

Mój dłuższy pobyt we Francji dał mi może więcej możliwości do obiektywnego sądu o młodzieży polskiej i w ogóle o stosunkach w Polsce. Przeżycia wojenne obok demoralizacji wzmocniły u młodzieży romantyzm, tak potrzebny w okresie walk wyzwoleńczych, tak szkodliwy w okresie, gdy spokojną pracą należy leczyć wojenne rany.

By wzmacniać przemysł, by usprawnić administrację — trzeba Polsce dobrze kwalifikowanych robotników, potrzeba wysoko kwalifikowanej i uczciwej inteligencji. Młodzież szkolna winna już dziś przygotowywać się do swej przyszłej roli. Jak? — Wykażę to na przykładzie.

Uczęszczam do gimnazjum Limanowskiego i mogę stwierdzić, że w naszej szkole większość młodzieży zrozumiała, jak należy ów „romantyzm" i chęć czynu skierować na właściwą drogę. Z inicjatywy samorządu szkolnego zorganizowano niedawno na podstawie wzajemnej umowy wyścig nauki pomiędzy klasami. W związku z tym szeroko uprawiana jest wzajemna pomoc. Uczniowie bardzo zdolni, lub ci, którzy nie posiadają w nauce żadnych zaległości, pomagają mniej zdolnym lub spóźnionym kolegom. Organizacje młodzieżowe na naszym terenie prowadzą aktywną kampanię kulturalną (np. teatrzyk, świetlica, kółko turystyczne). Zdaje mi się jednak, że dla osiągnięcia lepszych wyników słusznie byłoby, gdyby wszystkie istniejące organizacje zespoliły się w jeden potężny Związek Młodzieży.

Mamy teraz przed sobą pierwszorzędne perspektywy rozwoju. Nie będzie przed nami stało widmo ciągle grożącego bezrobocia. Start życiowy będzie równy dla wszystkich. Nie będzie więcej „Janków Muzykantów". Jeżeli chwilowo jest nam ciężko — to wyjście widzę w realizowaniu hasła: Mniej gadaniny o wielkich czynach. Małymi, lecz konkretnymi czynami realizujmy nasze idee.



H. Sz., uczenica IV klasy gimnazjum, ma lat 16. Jest to miła, inteligentna dziewczynka, mówi śmiało i pewnie. W jej tonie wyczuwa się może podświadomą chęć zwrócenia na siebie uwagi.

O przeszłości swojej opowiadać nie chce, wspomina mimochodem o ojcu, który od 1939 r. znajduje się w Londynie, związany z londyńskim rządem. Z harcerstwa wystąpiła. Organizacja ta jest według niej zbyt apolityczna, młodzieży potrzebny jest czynny udział w polityce — i to w polityce opozycyjnej w stosunku do obecnego Rządu, który nie jest rządem polskim, a reprezentuje tylko interesy sowieckie. Wszelkie formy walki z tym rządem są dobre i dlatego sympatie panny H. Sz. są po stronie nielegalnego ruchu leśnego.

— A więc usprawiedliwia Pani morderstwo Stachowiaka?

— Jeżeli stał na przeszkodzie — tak.

Panna H. Sz. chciałaby, by Polska uległa wpływom zachodniej Europy, przede wszystkim — Anglii. Z. S. R. R. i Niemcy — to zupełnie to samo — mówi.

— Więc jednym i tym samym jest okupacja niemiecka i wymordowanie 7 milionów Polaków — i rozlana po całej Polsce krew żołnierzy radzieckich, walczących o wolność naszego kraju?

Panna H. Sz. milczy.

— Czy rząd nasz nie zdał egzaminu „polskości" natchnąwszy życiem zgliszcza, puszczając w ruch zdewastowane fabryki, zmuszając zachwaszczoną ziemię do wydania chleba?

Panna H. Sz. milczy.

— Czy nie słuszniej byłoby, gdyby młodzież, zamiast taniego, nigdzie nie prowadzącego politykierstwa, stanęła w tym ciężkim momencie twardo przy naszym rządzie i swój marnujący się entuzjazm oddała sprawie zwalczania skutków wojny?

Panna H. Sz. milczy, a jeśli oponuje, to oponuje słabo, bez tej początkowej śmiałości. Nauczono ją już nienawidzieć — nie nauczono jeszcze — kłamać.



Fotografie autora

Artur Szyk: Śmierć Pulaskiego pod Savannah



O pierwszym polskim partyzancie

W DWUSETNĄ ROCZNICĘ URODZIN KAZIMIERZA PUŁASKIEGO

Czwartego marca minęło dwieście lat od dnia urodzin Kazimierza Pułaskiego.

Młodość jego przypadła na czasy, gdy zbliżał się pierwszy rozbiór Polski, który oznaczał kres niepodległości narodu na długie lata.

Pułaski już jako mały chłopiec odznaczał się odwagą i męstwem. W pamiętnikach z tamtych czasów czytamy, że „Zabawy jego najmilsze były... ćwiczyć się w strzelaniu z ręcznej broni, pasować się z kim tęgim, nakoniec różnych sztuk dokazywać". Zato „był wielce wstrzemięźliwy tak od pijaństwa, jak od kobiet". Nie miał żadnej czułostkowości, lecz patrzał na życie trzeźwo.

Ojciec Kazimierza, Józef Pułaski, należał do tej grupy Polaków, która nie chciała pogodzić się z ugodową i uległą wobec caratu polityką ówczesnego rządu polskiego, wiodącą do utraty niezależności...

Ludzie ci zawiązali konfederację, czyli związek zbrojny w r. 1768 i wciągając do tej akcji kolejno różne ziemie Rzeczypospolitej, rozpoczęli walkę zbrojną.

Kazimierz Pułaski miał wtedy 21 lat. Wraz z dwoma swymi braćmi przystąpił odrazu do konfederacji i otrzymał rangę pułkownika. Choć nigdy nie uczęszczał do żadnej szkoły wojennej, wykazywał doskonałą orientację, zdradzając wybitny talent wodza.

Konfederaci prowadzili wojnę partyzancką, kryjąc się przeważnie po lasach i uderzając z zasadzki. Starcia z wrogiem były zawsze bardzo krwawe, gdyż decydowała nierówność sił. Słynne są dokonywane przez Pułaskiego ataki na Lwów, Poznań, Kraków, Jasną Górę, która została przez niego zdobyta. Odpierał szturmy nieprzyjacielskie otoczony ze swym wojskiem kolejno w różnych twierdzach. Zdawało się, że ten oficer dwoi się i troi — wyrastał niespodzianie w rozmaitych krańcach Polski, zagrzewając wszędzie ludzi do walki, choć sam coraz wyraźniej przewidywał klęskę konfederacji.

Ruch ten istotnie liczyć nie mógł na długotrwałe powodzenie, gdyż nie próbował wciągnąć do walki o sprawę narodową najliczniejszych warstw: chłopów i mieszczaństwa.

Po czteroletniej partyzantce Pułaski musiał opuścić kraj, gdyż został zamieszany w sprawę zamachu na życie króla Stanisława Augusta i z tego powodu był ścigany listami gończymi.

Rozpoczęła się tułaczka po obcych krajach, gdzie Pułaski szukał przez kilka lat możliwości stworzenia polskich sił zbrojnych, by u boku wrogów caratu wywalczyć niepodległość dla swej ojczyzny. Lecz próby te okazały się daremne.

Wtedy to — w roku 1777 już jako trzydziestoletni oficer, mający za sobą bohaterską kartę walk zbrojnych, spotkał Kazimierz Pułaski Franklina, jednego z przywódców amerykańskiej wojny o niepodległość. Były to bowiem czasy, gdy tworzące się w Ameryce młode społeczeństwo stanęło do walki przeciwko przemocy angielskiej. Anglia chciała z tych ludzi zrobić posłusznych sobie kolonistów.

Zbuntowani Amerykanie ogłosili demokratyczną deklarację o niepodległości, oświadczając, że wszyscy ludzie są równi, że każdy człowiek ma w równym stopniu prawo do życia, rozwoju umysłowego, pracy w umiłowanym przez siebie kierunku i niezależności obywatelskiej.

Pułaski, otrzymawszy listy polecające do Waszyngtonu, wyruszył odrazu do Ameryki, by tam walczyć w imię ideałów wolnościowych, tak pięknie określonych w owej deklaracji. Zgłosił się do służby wojskowej po wylądowaniu za oceanem, gdzie w pierwszym okresie pobytu nie miał życia łatwego. Pomimo przychylności naczelnego dowództwa nowi koledzy patrzyli nieufnie na polskiego oficera, który nawet nie znał tamtejszego języka.

Lecz Kazimierz Pułaski nie zwracał wiele uwagi na te przeszkody. Wziął się energicznie do czynu. Zaczął organizować wojsko, przedstawiające się wówczas bardzo źle, gdyż nie było należycie umundurowane, ani odżywione. Lecz miało gorący zapał do walki i dlatego wraz ze swym niezwykle uzdolnionym wodzem dokonywało cudów. Kazimierz Pułaski zdobył sobie w krótkim czasie szacunek oficerów amerykańskich, a dowództwo naczelne, przyznając stopień generała, powierzyło mu cały korpus kawalerii. Rozpoczęły się brawurowe natarcia, w których Pułaski wykorzystywał całe swoje doświadczenie, zdobyte podczas polskiej partyzantki. Wyrastał Anglikom przed oczami w najmniej oczekiwanych miejscach. Nieraz poznawali jego wypad jedynie po spalonym moście, czy rozbitym taborze. Rozkazy były wykonywane szybko i skutecznie, a najgorsze warunki klimatyczne nie potrafiły opóźnić decyzji, którą Pułaski wypełniał zawsze pełen pogody i spokoju.

Jesienią 1779 r., a więc po dwuletnim już okresie walk, Amerykanie przystąpili do zdobywania miasta Savannah.

Pułaski stanął na czele brawurowego ataku konnicy, który miał być jego ostatnim atakiem bojowym. Trafiony kulą angielską został ciężko ranny i wkrótce zmarł na statku, gdy wieziono go przez morze.

Amerykanie, którzy — jak wiadomo — zwycięsko zakończyli swoją wojnę o niepodległość, czczą Kazimierza Pułaskiego, jako bohatera i szermierza idei republikańskiej. W wielu miastach Stanów Zjednoczonych powstały pomniki i tablice pamiątkowe na cześć polskiego generała. Do najbardziej znanych należy wzniesiona w Savannah w r. 1855 kolumna z płaskorzeźbą, popiersie Kazimierza Pułaskiego na Kapitolu w Waszyngtonie oraz pomnik konny.

W pamięci Polaków Kazimierz Pułaski pozostanie na zawsze szlachetnym bojownikiem o wolność kraju.

Rozpoczął cały łańcuch polskich walk wyzwoleńczych przez długie dziesiątki lat aż do naszych dni. Jest wzorem powstańca, partyzanta, a nade wszystko gorącego patrioty, który już jako bardzo młody oficer zdawał sobie sprawę z faktu, że ważniejszy jest własny czyn, własne mężne postanowienie, aniżeli oglądanie się na obce obietnice.

Ten miłujący ojczyznę człowiek i trzeźwo myślący żołnierz może być dziś przykładem postępowania dla wszystkich Polaków.

Zofia Markiewicz-Karczewska.

UWAGA na Niemcy!

„Duch hanzeatycki"

Prasa niemiecka poświęca dużo miejsca rzewnym wspomnikom z okazji 90-lecia założenia towarzystwa żeglugowego p. n. „Norddeutscher Lloyd" W dn. 20 lutego 1857 grupa kupców i przemysłowców bremeńskich założyła przedsiębiorstwo, które miało podjąć konkurencję z powstałym 10 lat wcześniej podobnym towarzystwem pod nazwą „Hamburg-Amerika Linie". Obydwa te przedsiębiorstwa armatorskie rozrosły się z biegiem czasu w potężne linie żeglugowe, które niosły flagę niemiecką a wraz z nią towary do wszystkich portów świata, stając się w ten sposób wspaniałym instrumentem propagandy niemieckiej. Rzeczą najpoważniejszą jednak było to, że przyczyniły się one walnie do wzrostu imperializmu i potęgi morskiej Niemiec. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej „Norddeutscher Lloyd" posiadał 155 statków transatlantyckich o tonażu 982.000 BRT. Na podstawie traktatu wersalskiego statki te przeszły na własność państw alianckich, przeważnie na rzecz W. Brytanii. Był to poważny cios, wymierzony w niemiecką politykę morską i handlową. Wadliwe sformułowania traktatu wersalskiego, a nade wszystko zaś brak kontroli nad życiem gospodarczym Niemiec pozwolił im wkrótce na odbudowę m. in. również floty handlowej. Dzięki zjednoczeniu się kilku mniejszych towarzystw żeglugowych w r. 1925, już w rok później „Norddeutscher Lloyd" dysponował znowu flotą, składającą się z 122 statków o pojemności 558.000 BRT. W następnych latach Niemcy zdobyli pierwsze miejsce w komunikacji pasażerskiej na Atlantyku Północnym, nawet przed Anglią. Do r 1932 „Norddeutscher Lloyd" posiadał już największe, najszybsze i najbardziej nowoczesne transatlantyki, pośród których statki „Bremen" i „Europa" znane były na całym świecie. W r. 1931 wspomniane towarzystwo żeglugowe posiadało 187 statków o tonażu 962.000 a więc tylko o 20 tys. ton mniej, niż u szczytu swego rozwoju w latach przedwojennych i zatrudniało w tym czasie 18 tysięcy osób personelu. Kapitał akcyjny przedsiębiorstwa wynosił okrągło 160 milionów marek. Na przestrzeni zatem niespełna 12 lat (od 1919 do 1931) potrafili Niemcy wybudować całkiem od nowa potężną flotę handlową, która przydała im się ogromnie w ostatniej wojnie. Trzeba przytem pamiętać, że cyfry powyższe obejmują tylko jedno towarzystwo żeglugowe.

Zwycięstwo mocarstw sojuszniczych rozbiło także potęgę morską Niemiec. Niemniej jednak naród ten bynajmniej nie wyrzekł się swych zgubnych dla ludzkości i pokoju świata rojeń. Jedno z pism niemieckich pisze: Jeszcze nie wiemy, kiedy Niemcy będą mogły wysyłać znowu na morza swoje statki oceaniczne. Pozostaje jednak nadzieja, że w jakiejkolwiek postaci stary duch hanzeatycki w niezbyt odległej przyszłości przyczyni się do pomnożenia dobrobytu narodów" (!) Należy wierzyć, że tym razem zwycięscy wybiją Niemcom ostatecznie z głowy „ducha hanzeatyckiego", który okazał się dla całego świata złym i przeklętym duchem podbojów za pomocą ognia i miecza. Za niemiecką flagą, w takiej czy innej postaci, szła zawsze wojna, mord i pożoga. Dlatego narody, miłujące pokój, chcą mnożyć swój dobrobyt bez jej udziału.

Boh-Dan

Niemiecka „kultura" ogniskiem zarazy hitlerowskiej

B. kierownik służby informacyjnej „Zachód" szwedzkiej policji bezpieczeństwa dr. Kjellberg złożył ministrowi sprawiedliwości Szwecji sprawozdanie o działalności niemieckiej propagandy na terenie Szwecji w czasie ostatniej wojny. Sprawozdanie to nie jest dla nas żadną rewelacją, w państwach zachodnich wywołało ono jednak ogromne wrażenie, odsłaniając zdumionym narodom niezbity fakt, że każdy Niemiec jest wszędzie i zawsze tylko koryfeuszem agresywnego imperializmu i faszyzmu germańskiego. „Wszyscy zasiedziali na terenie Szwecji Niemcy — stwierdza dr. Kjellberg — byli zdania, że mają do spełnienia misję apostołów propagandowych idei narodowo-socjalistycznych". Obszerne sprawozdanie szefa kontr-wywiadu szwedzkiego obejmuje podchwycone listy, telefonaty, telegramy i broszury propagandowe, które demaskują również szereg obywateli szwedzkich, omotanych sieciami propagandy niemieckiej. Liczne w Szwecji niemieckie „instytuty kulturalne" były niczym innym, jak faszystowskimi centralami propagandowymi. Dr. Kjellberg wymienia tu m. in. niemieckie biuro podróży w Sztokholmie, instytuty językoznawcze, zorganizowane przez Akademię Niemiecką (Deutsche Akademie) w Monachium w wielu miastach szwedzkich, dalej różne organizacje i imprezy lokalne, jak koncerty, przedstawienia filmowe oraz wykłady o charakterze naukowym. Periodyki i dzienniki niemieckie finansowane były przez attachat prasowy Rzeszy. Biura prasowe i agencje informacyjno-publicystyczne stały na usługach hitlerowskiej roboty szpiegowsko-propagandowej.

Najogólniej tylko tutaj naszkicowane stwierdzenia, które dr Kjellberg poparł olbrzymim materiałem dowodowym, posiadają aż nadto wyraźną wymowę. My Polacy nigdy nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości co do tego, że każdy Niemiec, przebywający poza granicami państwa niemieckiego, pełni rolę propagandzisty i zarazem szpiega „ad maiorem Germaniae gloriam".

Niemieckie nastroje i „demokratyczny" duch

Nadworny fotograf „Führera" Trzeciej Rzeszy, Heinrich Hoffmann, który posiadał filie swego przedsiębiorstwa czasu okupacji hitlerowskiej również w Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej, został przez Izbę Orzekającą w Monachium skazany na 10 lat obozu pracy i konfiskatę mienia w wysokości 9 milionów marek. Rozprawa obfitowała w momenty, świadczące z jednej strony o tupecie i arogancji, z jaką hitlerowscy przestępcy występują przed sądami, z drugiej zaś o prawdziwych nastrojach, jakie panują w Niemczech. Na wstępie Hoffmann oświadczył bezczelnie, że do procesu się nie przygotował, ponieważ sądził, że w ciągu roku dużo rzeczy zmieni się w Niemczech i w sprawie swojej denazyfikacji nie będzie potrzebował podejmować żadnych kroków! Kiedy oskarżyciel publiczny napiętnował propagandę fotograficzną Hoffmana jako robotę równie szkodliwą jak działalność Goebbelsa, Hoffmann podniesionym głosem zawołał, że przecież nikt nie zmuszał narodu niemieckiego, aby kupował zdjęcia i książki o Hitlerze.

W czasie przerwy w rozprawie ów „znakomity fotoreporter Rzeszy" pokrzepiał się likierem i amerykańskimi papierosami. Żona jego tymczasem żywo rozprawiała ze świadkami, którzy następnie przed sądem wyrażali swoje zdziwienie, że Hoffmann został w ogóle postawiony w stan oskarżenia: „Przecież ten człowiek fotografował tylko naszego führera..."

* * *

W miejscowości Münzesheim w Badenii stanął przed sądem dygnitarz hitlerowski Oesterle, członek partii od r. 1933. Świadkowie oskarżenia składali zeznania bardzo ostrożnie, na ogół raczej na korzyść przestępcy. Sąd zawiesił rozprawę i wszczął dochodzenie przeciw powołanym świadkom. Okazało się, że Oesterle zapowiedział wszystkim, że niebawem zajdą w Niemczech poważne zmiany i wówczas on będzie wiedział, co zrobić z tymi, którzy wystąpią teraz przeciwko niemu...

* * *

Burmistrz Petersen w miejscowości Jadelund pow. Husum zjawił się w asyście 2 policjantów i 3 chłopów u b. więźnia obozu koncentracyjnego nazwiskiem Kulwein i zażądał natychmiastowego opróżnienia mieszkania. Kiedy ten okazał dowód pobytu w obozie jako więzień polityczny, burmistrz oświadczył: „Czasy, kiedyście mieli jakieś prawa, już się skończyły"...

Kilku wybitnych Anglosasów, którzy ostatnio zwiedzili Niemcy, powiedziało po powrocie do Anglii czy Ameryki, że nigdzie nie znaleźli w Niemczech śladów hitleryzmu czy nacjonalizmu, że przeciwnie demokracja zapuszcza coraz głębsze korzenie w Niemczech. Jest taka choroba, która nazywa się daltonizm. Polega ona na niemożności odróżniania kolorów. Pewne koła anglosaskie chorują nagminnie na daltonizm.

„Deutsche not"

Niemcy krzyczą na cały świat o swojej rzekomej nędzy. „Koelner Volksstimme" opublikowała pikantne szczegóły, jak sobie żyją przemysłowcy niemieccy. Opis rautu, urządzonego przez tych „panów" wyszczególnia potrawy, między którymi nie brakowało najwyszukańszych delikatesów, szampanów, win, likierów itd.

Dolary Lehara

Kompozytor słynnych operetek Franz Lehar, który stoi pod zarzutem, że utrzymywał bliski kontakt i serdeczne stosunki z czołowymi dygnitarzami hitlerowskimi, a żonie swojej kazał nadać tytuł „honorowej aryjki" oświadczył, że nie zamierza powrócić do Austrii, aby się denazyfikować, lecz pozostanie w Szwajcarii. Wiedeński dziennik „Neues Osterreich" pisze w związku z tym z żalem, że odmowa powrotu Lehara oznacza dla Austrii poważny ubytek w dolarach i frankach szwajcarskich. Współczujemy gorąco kataryniarzom wiedeńskim...

Upiory mistyki germańskiej

Ritter von Mahraun, twórca reakcyjno-faszystowskiej organizacji „Jungdeutscher Orden", która przepojona starogermańską mistyką, umieściła na czele swego programu bezpardonową walkę ze Słowiańszczyzną aż do całkowitego wytępienia tej „podłej rasy niewolników" — pojawił się znowu na widowni życia politycznego Niemiec. Mahraun zamierza tym razem powołać do życia organizację pod kuszącą demokratyczną nazwą „Ruch sąsiedztwa" (Nachbarschaftsbewegung). W odezwie w tym celu wydanej, twierdzi on, że istniejące partie polityczne w Niemczech i tak nie wiedzą, co począć z demokracją. Należy więc stworzyć ruch, któryby wskazał Niemcom jasną drogę w przyszłość, nawiązującą do tradycji starogermańskiej.

Należy bacznie śledzić robotę tego apostoła nienawiści i walki ze światem słowiańskim.

Berlin jednak żyje

Tak zatytułował jeden z dzienników berlińskich notatkę, zawierającą dane statystyczne o zgonach i urodzeniach w Berlinie w okresie 16 miesięcy, od czerwca 1945 do listopada 1946. Cyfry podane przez urząd statystyczny Berlina są istotnie interesujące. Okazuje się, że gdy w czerwcu 1945 ilość zgonów przewyższała 6-krotnie ilość urodzeń, w listopadzie 1946 stan ten uległ już znacznej poprawie: 4889 zgonów, 2446 urodzeń. Wynika z tego jasno, że Niemcy szybko odzyskują swoją siłę witalną.

Berlin lebt doch!

Die monatlichen Kurzmitteilungen des Statistischen Amtes der Stadt Berlin, von denen soeben die vom November 1946 herausgekommen



sind, geben Auskunft über die Bevölkerungsvorgänge in unserer Stadt. Unser Bild zeigt das Verhältnis von Todesfällen und Geburten in den 16 Monaten vom Juli 1945 bis November 1946. Wenn auch im November 1946 die Zahl der Todesfälle noch doppelt so hoch ist wie die der Geburten (4889 gegen 2446), so sieht das Bild doch erfreulicher aus, als im Juli 1945, wo 16 370 Todesfällen nur 2949 Geburten gegenüberstanden. Kl

FOTO SIB. *Moskwa — Wielka Czwórka: Bevin, Marshall, Mołotow, Bidault.*







Na bankiecie u ministra Mołotowa: ministrowie Marshall i Mołotow, obok — marszałek Koniew i generał Clay.





Na granicy bawarsko-austriackiej grasują całe bandy SS-owców, trudniących się przemytem broni i żywności. Ostatnio policja okupacyjna wykryła szajkę zbrodniarzy hitlerowskich, którzy zamordowali 10 osób i po przerobieniu mięsa ludzkiego na kiełbasy, sprzedawali je na czarnym rynku.

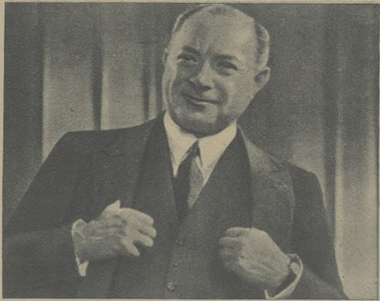
Oczy całego świata skierowane są na Moskwę. Konferencja nad „traktatem niemieckim" (jak po długich debatach ustalono nazwę układu, który uregulować ma stosunki między pobitą Rzeszą niemiecką a państwami sojuszniczymi) przeciąga się. Między Związkiem Radzieckim a państwami anglosaskimi zarysowały się podczas obrad poważne różnice w poglądach na najbardziej żywotne sprawy dla tych państw, które odczuły na sobie całą potworność najazdu hitlerowskiego. Te żywotne sprawy to wprowadzenie do Niemiec ustroju demokratycznego (t.zw. „demokratyzacja"), zniszczenie groźby ponownej agresji „odwetowej" przez rozebranie fabryk zbrojeniowych, rozwiązanie formacji półwojskowych, które czynne są w strefie brytyjskiej (t. zw. „denazifikacja" Niemiec). Raport Komisji Kontrolnej przedłożony zastępcom obradujących ministrów stwierdza dobitnie, że ani jedna z wymienionych spraw nie została należycie załatwiona; że przemysł niemiecki w strefach anglosaskich może w każdej chwili przejść na produkcję wojenną; że istnieje silny ruch podziemny w Niemczech, szerzy się nienawiść do „okupantów", szykanuje się ofiary faszyzmu, więźniów obozów koncentracyjnych i uchodźców. Mimo gorących debat przy okrągłym stole, przedstawiciele decydujących o obliczu świata potęg są bardzo gościnnie podejmowani przez gospodarza konferencji, min. Mołotowa (na zdjęciu od prawej: francuski min. spr. zagr. George Bidault, min. Wiaczesław Mołotow, min. George C. Marshall, min. Ernest Bevin).

Na uroczystym przyjęciu, wydanym przez przedstawiciela Związku Radzieckiego dwaj zwycięscy wodzowie ubiegłej wojny: amerykański generał Clay i rosyjski marszałek Koniew spełniają toast za trwały pokój. Gen. Clay wsławił się powiedzeniem, że denazifikacja w strefie amerykańskiej przeprowadzana jest w sposób „humorystyczny". Tym niemniej jednak policja wyłapuje podczas wielkich obław zwolenników trzeciej wojny, którzy mają nadzieję, że międzynarodowy kapitał odbuduje imperialistyczne Niemcy.

KEYSTONE - FOTO SAP.



Król Amerykanskich Linii Lotniczych — Juan Terry Trippe.



Król Radia — David Sarnoff.



Krol Przemysłu Chemicznego Lammot DuPont.



Król Nafty — Eugene Holman.



Król Stali — Beniamin Fairless.

Czasopismo angielskie „Leader" zamieszcza zdjęcia nieoficjalnych władców Ameryki, przedstawicieli kapitału amerykańskiego. Zwalczany zawzięcie przez Roosevelta (twórca Nowego Ładu usiłował zsocjalizować Amerykę i ukrócić monopol kapitału), Big Business (Wielki Kapitał) wystąpił po śmierci Wielkiego Prezydenta z zadziwiającym sloganem wyborczym: „Macie dosyć? Głosujcie na republikanów!" i — wygrał wybory do Kongresu i Senatu, partia republikańska bowiem pozostaje pod głębokimi wpływami kapitału. Dążeniem wielkiego kapitału było zniesienie kontroli przez państwo, rozbicie związków zawodowych, wolna, nieskrępowana przez rząd konkurencja oraz nieograniczony eksport, opanowanie wszechświatowych rynków zbytu. Związany ścisłymi stosunkami z koncernami zagranicznymi (np. z kartelami niemieckimi), kapitał amerykański rządzi się jedynie prawami dobrego interesu. Sławną aferą było dostarczenie fałszywej peniciliny na rynek południowo-amerykański. Zyski ciągnione ze sprzedaży „demobilu" również nie nastrajają sympatycznie odbiorców. Trzeba bowiem wyjaśnić, że transportowanie materiału wojennego z powrotem do Ameryki nie opłaca się. Niesprzedany w Europie towar jest niszczony na miejscu.

Ludzie, którzy kierują przemysłem Ameryki mają wygląd nobliwy i sympatyczny. Pismo „Leader" słusznie zauważa, że nie zjadają oni na śniadanie robotników. Niektórzy z nich są bardzo dzielnymi ludźmi. Taki Juan Terry Trippe, zarządca panamerykańskich linii lotniczych, ma lat 47, a od dwudziestu lat piastuje to wysokie stanowisko. Taki król chemii, Lammot Dupont, właściciel zakładów wyrabiających 73% dynamitu amerykańskiego, ma wygląd uczonego.

Ale interesy, które oni reprezentują, są obce, więcej — są wrogie dla demokratycznego świata. Żołnierz amerykański nie umierał za ideały zysku i interesu. Mamy głębokie przekonanie, że przyszły, trwały, ostateczny pokój również nie będzie podporządkowany ich interesom.

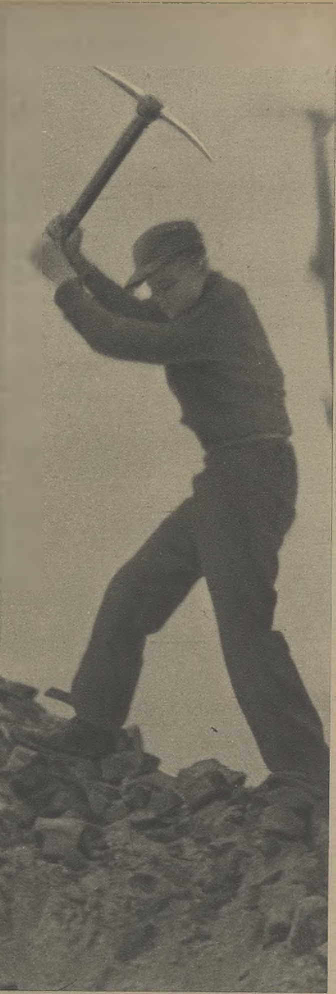
Koło stadionu, tuż przed żoliborskim wiaduktem, stoją dwa długie drewniane baraki.

Jadalnia o długich, prostych stołach, niewielkie biuro, kuchnia, pralnia, trzypiętrowe prycze pod ścianami mieszkalnych izb — to wszystko. Ściany poczerniały od lat i niepogód, przez nieduże okna sączy się szare światło pochmurnego dnia wczesnej wiosny.

Nie, nie jest tu bogato ani olśniewająco ani wspaniale w tych ciemnych, drewnianych barakach, gdzie mieszka, uczy się i pracuje 125 chłopców z Batalionu im. Janka Krasickiego.

Batalion powstał we wrześniu ubiegłego roku z inicjatywy Zarządu Głównego Z. W. M. Zjechała wówczas do Warszawy z różnych stron kraju gromadka chłopców, przeważnie bardzo biednych, przeważnie sierot. Niektórzy nie umieli czytać i pisać. Tu dano im opiekę, pracę i naukę. Przydzielono miejsca do spania i pościel. Rozdano mundury, bieliznę, zeszyty i książki. Tak się zaczęło.

Dziś I Batalion Odbudowy Warszawy ma za sobą poważny dorobek. Połowa powierzonej mu pracy przy przebijaniu odcinka ul. Marszałkowskiej, który połączyć ma centrum z ul. Bonifraterską — została wykonana. Praca trwa codzień do południa. Po południu — członkowie Batalionu uczą się. Analfabetów nie ma w Batalionie już dawno. Zorganizowana przy Batalionie przyspieszona szkoła powszechna spełnia swoje zadania. Część chłopców uczęszcza już do Gimnazjum Mechanicznego. Żaden nie rezygnuje z dalszej nauki.









I BATALION ODBUDOWY WARSZAWY im. JANKA KRASICKIEGO





Baraki przy wiadukcie stały się domem, prawdziwym domem 125 chłopców. Własnoręcznie wyszorowane podłogi wskazują na dbałość, jaką chłopcy otaczają swój dom. W sypialniach równo zasłane prycze, równo uwieszone na gwoździach czapki. Gazetka ścienna. Portrety. W jednej z sal — na przeciw drzwi 23 instrumenty. To pokój, gdzie mieszka i ćwiczy się orkiestra.

Pomysł ZG ZWM tworzenia młodzieżowych batalionów pracy i nauki przeszedł próbę życia. Rezultaty okazały się więcej, niż zadawalające. Powstał plan rozszerzenia podjętej we wrześniu zeszłego roku akcji.

W maju bieżącego roku powstanie na Placu Krasińskich w Warszawie nowy obóz młodzieży, obliczony już na 1000 ludzi. Do tego potężnego batalionu zostanie wcielony I Batalion im. Janka Krasickiego. Część jego członków obejmie pracę instruktorską. Baraki przy wiadukcie opustoszeją.

A. U.

FOTO JARACZEWSKI.



Marjorie Kinnan Rawlings

Roczniak

Przekład autoryzowany Adama Galisa. **7)**

— Nie zamęczaj Fodder-winga! — powiedział Penny.

— Przepraszam nigdy go nie męczę. Przecież to mój przyjaciel.

— No, to zgoda. Bo widzisz, Fodder-wing jest jakiś inny niż reszta rodziny i nie jego wina, że się wykluł takim odmieńcem.

— Fodder-wing jest moim najserdeczniejszym przyjacielem. Prócz Oliwera!

— Trzymaj się lepiej Oliwera. Jego banialuki są po prawdzie mniej wiarygodne od fodder-wingowskich, ale Oliwer wie przynajmniej kiedy buja.

Ciszę leśną przerwał nagle piekielny hałas, który wybuchł w domu Forresterów. Był to łoskot krzeseł rzucanych o ściany. Nagle pękł jakiś wielki przedmiot, brzęknęło pogruchotane szkło. Rozległ się ciężki tupot nóg na drewnianej podłodze i huczące głosy Forresterów uderzyły o ściany. Nad tym tumultem unosił się cienki głos kobiecy. Drzwi rozwarły się szeroko i sfora psów rzuciła się na łeb na szyję przez wyjście. Mama Forrester pędziła za nimi z wielką miotłą, tłukąc w co się dało, a psy zmykały gdzie pieprz rośnie. Za mamą tłoczyli się synowie.

— Czy tu aby człekowi można bezpiecznie wejść? — zawołał Penny.

Forresterowie krzyczeli równocześnie słowa powitania i wydawali rozkazy psiarni. Mama Forrester podniosła bawełniany fartuch obydwiema rękami i powiewała jak chorągwią. Okrzyki powitalne tak się pomieszały z krzykami na psy, że Jodyemu zrobiło się przykro, bo niezbyt był pewny przyjęcia.

— Złaźcie i chodźcie do chałupy! Precz, przeklęte złodziejaszki! Boczków wam się zachciewa! Hurra! Jak się macie? A niech was diabli porwą!

Ma Forrester skoczyła za psami, które w szalonym popłochu rozbiegły się po lesie.

— Penny Baxter! Jody! Złazajcie! Miło nam powitać!

Ledwie Jody zsiadł z konia a od razu dostał od Ma Forrester kuksa w bok. Snuła się dokoła niej woń tytoniu i dymu jałowcowego. Nie raził go ten zapach, ale przywodził na myśl przyjemny zapach babci Hutto.

Penny zlazł z konia. Ostrożnie trzymał Perka na ręku. Forresterowie trącili się porozumiewawczo łokciami. Buck wziął Cezara za uzdę i zaprowadził do zagrody dla koni. Mill-wheel podniósł Jodyego, przeniósł ponad głową i postawił na ziemi, jak gdyby bawił się szczeniakiem.

Na schodkach, wiodących do domu, ujrzał Jody Fodder-winga, śpieszącego na powitanie. Garbate, kalekie ciało poruszało się w szeregu wygięć i załamań, jak pokraczna, ranna małpa. Fodder-wing podniósł laskę i wymachiwał z radości. Jody pobiegł mu na spotkanie. Oblicze przyjaciela jaśniało zadowoleniem.

— Jody! — krzyknął.

Stali zakłopotani i szczęśliwi.

Jodyego ogarnęło uczucie zadowolenia, jakiego nigdy jeszcze nie doznał. Kalekie ciało druha nie raziło go, nie wydawało mu się bardziej nienaturalne niż ciało kameleona. Doszło go parę razy zdanie dorosłych, że Fodder-wing jest niespełna rozumu. Sam zresztą wiedział najlepiej skąd się wziął przydomek: Fodder-wing*). Najmłodszy Forrester uroił sobie, że jeśli przywiąże do ramion coś lekkiego i powiewnego, to potrafi sfrunąć z wierzchołka stodoły jak ptak. Przytroczył więc do ramion wielkie wiązki grochowin i skoczył. Cudem ocalał. Ale do kalectwa, z którym przyszedł na świat, przyłączyło się jeszcze parę złamanych kości. Zapewne, taki czyn był istnym szaleństwem, tym nie mniej jednak, w głębi ducha sądził Jody, że coś takiego dałoby się wykonać. Sam myślał nieraz o wielkich latawcach. Więc jakieś tajemne porozumienie łączyło go z kaleką, który chciał fruwać, być lekkim, uwolnionym na chwilę od ciężaru ciała, od związku z ziemią, a teraz kuśtykał, zgięty i połamany.

— Cześć, jak się masz! — powiedział.

— A wiesz Jody, mam małego szopa — oświadczył Fodder-wing.

Co pewien czas miewał nowego ulubieńca.

— Chodźmy go obejrzeć.

*) Fodder — pasza, wing — skrzydło.

Fodder-wing zaprowadził przyjaciela za dom, gdzie znajdował się jego zbiór klatek, z wielce urozmaiconą czeredą lokatorów, ptaków i zwierząt.

— Orzeł mi zdechł — powiedział Fodder-wing — nie mógł przyzwyczaić się do klatki.

Parę czarnych królików błotnych znał Jody już dawniej.

— Nie chcą nijak mieć młodych — wyjaśnił Fodder-wing. — Postanowiłem wypuścić je na wolność.

Wiewiórka uwijała się po klatce bez wytchnienia.

— Podaruję ci ją — zaproponował Fodder-wing. — Złowię sobie inną.

— Jody ucieszył się w pierwszej chwili i zaraz posmutniał.

— Mama nie pozwoli.

A serce rwało się do wiewiórki.

— Popatrz, to jest ten szop. Rakieta, do mnie!

Zwierzątko wyściubiło czarny nosek między gęstymi kratami klatki. Szop wysunął małą, czarną łapę, podobną do ręki murzyniątka. Fodder-wing odsunął pręt i wyjął stworzonko. Zwierzę przytuliło się do ramienia swego pana i krzyknęło dziwnym głosem.

— Możesz go potrzymać trochę, nie ugryzie!

Jody popieścił szopa. Nigdy w życiu nie dotykał tak rozkosznie miękkiego futerka. Było ono tak miłe w dotyku, jak odświętna, flanelowa koszula Ma Baxter. Czarna zasłona futerka zasłaniała ostry pyszczek aż po ślepia. Puszysty ogon nie miał chwili spokoju. Szop poiskał pyszczkiem futro i znowu krzyknął.

— Prosi o kawałek cukru — wyjaśnił Fodder-wing ojcowskim tonem — zanieśmy go do domu, póki psów nie ma. Bał się psów bardzo, ale przyzwyczaił się trochę. Tylko hałasu nie znosi.

— Co to właściwie była za kłótnia, kiedyśmy przyjechali? O co poszło? — zapytał Jody.

— Nie brałem w tym udziału — rzekł Fodder-wing pogardliwie — to oni...

— Ale co się stało?

— Któryś z piesków napaskudził na podłogę. Pokłócili się o to, czyj pies to narobił...

Rozdział VI.

Szop ssał chciwie smoczek. Leżał wygodnie w ramionach Jodyego, trzymając smoczek przednimi łapkami. W błogim zadowoleniu przymknął ślepia. A kiedy mały brzuszek napełnił się do syta mlekiem, szop odepchnął butelkę i usiłował wydostać się na wolność. Jody położył go sobie na ramieniu. Szop potargał mu czuprynę i pogłaskał po uszach i karku małymi, niespokojnymi łapkami.

— Wiecznie coś tymi rękami wyczynia — powiedział Fodder-wing.

Papa Forrester odezwał się z ciemnego kąta za kuchnią. Tak cicho siedział do tej chwili, że Jody nie domyślał się nawet jego obecności.

— Miałem był ja kiedyś szopa za młodych lat — rzekł starzec — dwa lata miły był, układny, niby kociak. Ale któregoś dnia jak mnie capnie za łydkę! Wygryzł mi kawałek





ciała. — Splunął w ognisko. — A ten urośnie, powiadam wam, i też będzie gryzł. Taka to już szopia natura.

Ma Forrester weszła do izby i zakrzątnęła się koło naczyń kuchennych. Synowie przyszli za nią gęsiego; pierwszy wszedł Buck, a za nim kolejno: Mill-wheel, Gabby, Pack, Arch i Lem. Jody nie mógł się nadziwić parze zasuszonych staruszków, która wydała na świat tych chłopów na schwał. Bracia byli do siebie podobni, jak dwie krople wody, z wyjątkiem Lema i Gabbyego. Gabby był niższy od braci i nie odznaczał się szczególnym rozumem. Wszyscy zapuścili brody, z wyjątkiem Lema, który się golił. Lem był tego wzrostu co reszta braciszków, ale był chudszy i skórę miał nieco jaśniejszą. Był małomówny. Często siadywał na uboczu, zamyślony, z kwaśną miną. Najbardziej rozhukani i głośni byli Buck i Mill-wheel.

Penny wszedł razem z Forresterami zagubiony między nimi, jak igła w stogu siana. Papa Forrester ciągnął dalej opowieść o obyczajach szopów. Nikt, prócz Jodyego, nie zwracał uwagi na ględzenie staruszka, który rozkoszował się własnymi słowami.

— Ten szop kiedy podrośnie będzie wielgachny jako pies. Poradzi każdemu psu na dworze. Bo trzeba wiedzieć, że szop tylko dla jednej rzeczy żyje. Psa musi sponiewierać. Położy się na przykład, w wodzie, na grzbiecie i będzie się opędzał całej sforze psów. A potem szach-mach i utopi pieski po kolei. A kąśliwe to! Zdechł już bestia, a jeszcze raz zębami ciach!

W duszy Jodyego walczyły ze sobą dwa życzenia. Pragnął słuchać dalej starca, a równocześnie paliła go ochota posłuchania rozmowy reszty Forresterów i Pennyego. Był ogromnie zdumiony tym, że ojciec wciąż jeszcze tuli wystraszonego Perka w ramionach. Penny poszedł przez pokój i zbliżył się do starszego pana Forrestera.

— Moje uszanowanie panu! Jak zdrowie, panie Forrester?

— Aaa, dzień dobry panu! Jakoś się człowiek trzyma, a już niedawno temu omal że nie wyciągnąłem kopyt. Prawdę mówiąc, już żem dawno powinien był przenieść się do wieczności, ale odkładam terminy. Zdaje się, że lepiej jestem widziany tu na tym padole...

— Proszę, niechże pan siada, panie Baxter! — odezwała się Ma Forrester.

Penny przysunął sobie fotel na biegunach i usiadł.

Lem Forrester huknął przez całą długość pokoju:

— Ej, czy twój pies jest kulawy?

— Uchowaj Boże! Jakoś nigdy dotąd nię zauważyłem, żeby kulał. Po prostu wolę go mieć przy sobie, aby nie poczuł na własnej skórze kłów waszej krwiożerczej psiarni.

— Aha! Drogi piesek? — zapytał Lem.

— Skądże znowu! Nie wart jest porządnej szczypty tytoniu. Nie zatrzymujcie go przypadkiem, kiedy sobie stąd pójdę, bo nie wart zachodu, żeby go ukraść.

— I tak się troszczysz o zwykłego kundla?

— Ja już jestem taki.

— A miałeś go ze sobą na niedźwiedzia?

— Owszem.

Lem zbliżył się do Pennyego i westchnął ciężko.

— A dobrze tropi? Potrafi osaczyć niedźwiedzia?

— Gdzież tam! Mizerna psina! Najgorszy pies myśliwski, jakiego kiedykolwiek miałem!

— Pierwszy raz mi się zdarza, żeby ktoś tak mówił o swoim własnym psie — zawołał Lem.

— Ano przyznaję, że nieźle się prezentuje. Niejeden chciał go kupić, ledwo na niego rzucił okiem. Ale nie mam wcale zamiaru naprowadzać cię na myśl o jakimś handelku, bo zawiódłbyś się okrutnie.

— Czy będziesz polował w drodze powrotnej do domu?

— A czemużby nie? Mężczyzna zawsze gotów jest do polowania.

— To dziwne, że bierzesz ze sobą psa, który się do niczego nie nadaje...

Forresterowie łypnęli na siebie porozumiewawczo. Nastąpiło milczenie. Bracia nie odrywali czarnych oczu od Perka.

Penny znów zabrał głos:

— Pies jest kiepski i moja stara skałkówka jest też niewiele warta. Poprostu jestem w kropce!

Czarne oczy przeniosły się na ścianę, gdzie wisiała broń Forresterów. Jody pomyślał, że wystarczyło by tej broni na założenie sklepu myśliwskiego. Forresterowie dobrze zarabiali na handlu końmi, sprzedaży dziczyzny i pędzeniem wódki. Rozkochani byli w broni i kupowali ją tak, jak inni ludzie kupują mąkę czy kawę.

— Twoja fuzja jest niewiele warta? A nie słyszałem nigdy, żeby ci się zdarzyło spudłować na polowaniu.

— Dopiero wczoraj chybiłem. Pukawka odmówiła mi posłuszeństwa, spaliła na panewce.

— A do czego strzelałeś?

— Do starego Slewfoota.

W pokoju wybuchła wrzawa.

— Gdzie to było? Gdzie się pasł? Skąd przyszedł? Z jakiej strony? Dokąd poszedł?

Papa Forrester stuknął laską w podłogę.

— Cicho tam! Spokojnie, chłopcy! Dajcie Pennyemu dojść do słowa. Przecież nie może nic opowiedzieć, kiedy ryczycie jak te, nieprzymierzając, buhaje!

Ma Forrester trzasnęła pokrywką na kotle i przyniosła patelnię kukurydzy takich rozmiarów, pomyślał Jody, jak kocioł do gotowania syropu cukrowego. Po izbie rozpłynęły się smakowite zapachy.

Ma Forrester powiedziała:

— Nie pozwolę na to, żeby pan Baxter rozpoczynał opowieść nie pokrzepiwszy się uprzednio. Jak wy jesteście wychowani, jak wy się zachowujecie?

— Taaak, to takie są wasze obyczaje! — zagrzmiał papa Forrester na synów. — żeby towarzystwo siadało do obiadu o suchym gardle!

Mill-wheel poszedł do sypialni i wrócił po chwili niosąc gąsiorek, opleciony słomą. Odszpuntował kufel i podał Pennyemu.

— Proszę mi wybaczyć, przepraszam najmocniej — rzekł Penny — jeśli nie wypiję zbyt wiele. Nie mam takiego spustu jak wy, chłopcy.

Roześmieli się hałaśliwie. Mill-wheel przeniósł kufel przez izbę.

— Hej, Jody!

— To młodzik jeszcze! — powiedział Penny.

A papa Forrester na to:

— Nie szkodzi mu. Ja wykarmiłem się na wódce.

— I dla mnie naparsteczek. W moim kubku! — powiedziała Ma Forrester.

Nałożyła każdemu jadła na talerzach wielkich jak miednice. Nad obficie zastawionym stołem unosił się obłok pary. Była tu i fasola na przysmażonym boczku, pieczony udziec sarni, misa mięsa wiewiórczego z kapustą, kukurydza przyrządzona na sposób indyjski z mlekiem, suchary, chleb kukurydziany, powidła różnego rodzaju, syrop z trzciny cukrowej i kawa. Olbrzymi budyń z rodzynkami czekał na swoją kolej, na kuchni.

(d. c. n.)

KSIĄŻKI

Pisarze proletariatu

Maksym Gorki. Matka. Przełożyła Halina Górska. Warszawa 1946. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 411.

Maksym Gorki (ur. 1868, um. 1936) należy do elity pisarzy świata.

Gorkij, rówieśnik Lenina, pochodził z klasy robotniczej. Od pierwszej swojej książki stał się piewcą jej idei, wyrazicielem jej życia, propagatorem jej dążeń. Cieszył się światową sławą i szacunkiem wszystkich rzeczników postępu. Był to pisarz szlachetny, człowiek prawy i prostolinijny.

„Matka" jest powieścią z okresu początków ruchu rewolucyjnego, kiedy socjalizm przełamywać musiał nieufność masy robotniczej, kiedy krył się i konspirował, dążąc do zorganizowania tej masy, do uświadomienia jej, do uczynienia z niej groźnej siły, mogącej przeciwstawić się kapitalizmowi. W tej konspiracji wyrastali ludzie częstokroć na bohaterów, byli też zdrajcy i prowokatorzy. Gorkij pokazuje działalność socjalistów na terenie pewnej fabryki, której właściciel bezwzględnie ciągnie zyski z produkcji, zwalając na barki robotników podatki i świadczenia. Wskutek działalności socjalistów nie dochodzi do zrealizowania nowego podatku na osuszenie błota, co więcej, robotnicy poczynają rozumieć, że jedynie organizacja socjalistyczna może zabezpieczyć ich przed nadmiernym wyzyskiem fabrykanta.

I choć aresztowani zostali najwybitniejsi przywódcy strajku i skazani na zesłanie, idea nie upadnie; na miejscu pozostawili bowiem nowych działaczy, wychowanych przez siebie. Tak jest z Matką jednego z działaczy, która nieufnie początkowo patrząc na pracę organizacyjną syna, bierze z czasem czynny udział w niej, zrazu przez miłość dla syna, a potem przejęta ideą, której służy.

Książka przetłumaczona gładko, czyta się zupełnie łatwo.

Upton Sinclair. Król węgiel. Tłum. Antoni Sokolin. Warszawa 1947. Spółdzielnia wydawnicza „Książka". Str. 463.

Pisarz amerykański z pokolenia Gorkiego. Sławnymi stały się jego dzieła „Nafta", „Król węgiel", w których pokazuje z bezlitosną ostrością podszewkę amerykańskiej demokracji, stosunki w kopalniach, mechanikę wyzysku, nierówność praw. Być może za dużo jest w „Królu węglu" pierwiastka awanturniczego (syn milionera udaje się w przebraniu do kopalń, aby poznać „prawdziwe" życie górników), jednakże powieść ta stała się jednym z większych ogniw łańcucha dzieł o tendencji socjalistycznej. Dość powiedzieć, że pisarze tacy jak Thornton Wilder, Steinbeck, Hemingway wiele zawdzięczają Uptonowi Sinclairowi. Pokazał on im, że obok „oficjalnej" Ameryki wszelkich swobód demokratycznych istnieje jeszcze inna Ameryka — kraj ucisku i samowoli kapitału. Tę drugą Amerykę coraz częściej i coraz jaskrawiej malują ci następcy Uptona Sinclaira.

E. B.

Mieczysław Zawistny

Odejście ojca

NOWELA

Matka ukończyła pranie i siedziała teraz nieruchomo; założyła biedne, spracowane ręce na kolanach, głowę pochyliła bokiem, tak że skóra na szyi wyciągnęła się nieco i przez to stała się jeszcze bardziej żółta i sucha, kosmyk włosów od niedawna siwych przylgnął do jej skóry. Ojciec siedział naprzeciw na niskim stołeczku i oboje patrzyli jakby w ten sam punkt podłogi. Prawie każdego wieczora powtarzały się teraz te przygnębiające chwile. W pierwszym okresie była tylko nerwowość. Gdy ktoś zapukał do drzwi, matka nie mogła opanować silnego drgnięcia, a ojciec na palcach szybko wycofywał się do ostatniego pokoju — wtedy dopiero szło się otwierać. W rozmowie z sąsiadką, która przyszła, trzeba się było bacznie wystrzegać jakiegoś słówka mogącego wzbudzić podejrzenie, a tu ręce matki wciąż drżały i oczy mimowoli kierowały się na drzwi pokoju. To było wyczerpujące, ale nie przygnębiało. Wieczorami długo rozmawiano, przy oknach zasłoniętych szczelniej, niż wymagały, niezbyt przestrzegane, nakazy o zaciemnianiu. Z tych właśnie rozmów wynikało zawsze, iż właściwie żadne naprawdę poważne niebezpieczeństwo nie grozi. Ojciec twierdził z przekonaniem, że tam nikt nie znał miejsca zamieszkania jego rodziny. „Wojna czyniąca z człowieka ścigane zwierzę, uczy zwierzęcej, leśnej przezorności i chytrości", tłumaczyła sobie Masia i nie dziwiła się, że ojciec taką rzecz na pozór niepotrzebnie zataił. W człowieku budzi się instynkt samoobrony, o sobie i swoich sprawach milczy się teraz lub kłamie. Ale ojciec dodawał mimochodem: „Były zresztą różne takie sprawki, że w każdej chwili mogło mi grozić aresztowanie, nie chciałem aby i was dosięgła zemsta". Wiedziało się doskonale co to za „sprawki". Któż nie podziwiał owych tajemniczych ludzi, których czyny urągały wszelkiej straszliwej przemocy i bucie wroga i o których mówiło się szeptem: „Morowe są nasze chłopaki". Zarówno dla Masi jak i dla matki było niespodzianką, że stary, łagodny ojciec mógł się także zaliczać do „naszych chłopaków" ale powściągliwe słówka ojca oraz nabyta już, obowiązująca w tych sprawach, dyscyplina milczenia nie dozwalały zadawać pytań. Ojciec szeleścił gazetą, przy czytaniu komunikatów wojennych wodził palcem po mapie, uśmiechał się nad tymi „planowymi odwrotami" i „skróceniami frontów". Widać było wtedy w oczach ojca odprężenie, stawały się jakby mniej napięte, mniej czujne. Matka przerywała pobijanie poduszek przy ścieleniu i stawała uderzona tą niewiarygodną, a jednak istniejącą możliwością bliskiego końca wojny. „Nawet gdyby cię ktoś przypadkowo zauważył — można powiedzieć, żeś przyjechał na urlop; może naprawdę to już długo nie potrwa".

Nad miasteczkiem coraz częściej pojawiały się lecące wysoko samoloty. Ludzie słuchali dudniącego warkotu, wpatrywali się w niebo przysłaniając oczy dłońmi i mówili:

— Sowieckie.

Była to już wyraźna oznaka zbliżania się frontu, a wieczorem kolejarze wracający z pracy przynosili drugą ważną wiadomość.

— Transporty niemieckie na zachód, fiu, fiu! — wieją już te szwaby jak diabli!

Nawet dnia tak nieprawdopodobnego, choć od pięciu lat wszyscy wierzyli, że dzień taki jest nieunikniony — doczekało się miasteczko, w którym landkomisarz z żandarmerią i jeszcze kilku urzędnikami niemieckimi wsiedli cichaczem do samochodów i pojechali — jakby ich tutaj nigdy nie było. Granatowi policjanci rozbrojeni, z niewyraźnymi minami kręcili się po ulicach, utrzymywali porządek w ogonku przed R. G. O., gdzie wydawano cukier i mąkę — resztki likwidowanych magazynów. Nauczyciel Zaremba, który przed miesiącem aresztującego go gestapowca trzasnął kajdankami w głowę i uciekł, pojawił się już i drwiąco spoglądał ze swego podwórza na przechodzących żołnierzy niemieckich. Masia wróciła z tajnego kompletu podniecona, z błyszczącymi radością oczyma, wysypała te wszystkie nowiny jednym tchem i powiedziała, że już się teraz nie chowa zeszytów pod ubranie, tylko się niesie normalnie pod pachą, jak gdyby nigdy nic. Wtedy i ojciec nabrał odwagi. Otworzył w pokoju okno od podwórza i wychylił głowę, chociaż mógł zostać łatwo zauważony przez sąsiadów. Ale nikogo nie było w pobliżu, a słońce lipcowe zdawało się aż w głąb duszy przeświecać jasnymi i ciepłymi promieniami. Masia usiadła na nagrzanym parapecie obok ojca, oboje uśmiechali się do siebie.

— Uważaj no, uważaj, nie bądź taki nieostrożny — wołała matka w drzwiach pokoju, a ojciec patrząc na Masię powiedział:

— Wkrótce już niczego się nie będziemy bali, prawda?

Teraz wszystko dokoła jakby znów odzyskiwało swój dawno stracony sens. Jakby opadała wstrętna, krwawa mgła, jaka musi osiadać na oczach człowieka osaczonego przez śmierć, a wiara w życie stawała się coraz bardziej prawdziwa i dotykalna. „Jeszcze trochę, jeszcze tydzień", mówiło się przez następne dni.

— Żeby się tylko front szczęśliwie przewalił, żeby tylko to przeżyć!

Już było frontowe SS, już byli żandarmi polowi z okrągłymi blachami na piersiach, już było „Ortskomando", samoloty warczały coraz uporczywiej, a z nastaniem zmroku widziało się daleko nad lasem wiszące gwiazdy spadochronowych rakiet.

— Nasze punkty odbiorcze, są widocznie zrzuty, będą mieli Niemcy na tyłach silną dywersję — objaśniał ojciec i coś szczególnego błyskało w jego oczach. Nagle ożywiał się.

— Jestem już stary, ale chciałbym tam być, wśród tych „leśnych ludzi". Mieć karabin, zobaczyć przed sobą Niemca w hełmie i strzelić.

— No, ale oni już to beze mnie dobrze zrobią — zacierał ręce i dodawał to, co wszyscy teraz powtarzali: — Jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze tydzień!

Ale tydzień minął i potem pewnego dnia wróciła Masia z tajnego kompletu i przyniosła nową wiadomość.

— Na Wroniej Górze jeńcy sowieccy kopią okopy, sama widziałam: Niemcy ich pilnują, odpędzają ludzi — nie wolno patrzeć.

— Tak, przyda im się to na diabła — burknął ojciec pogardliwie a matka zlękła się.

— O, Boże, aby tutaj tylko nie było bitwy!

Już nocami ledwo uchwytnie drżała ziemia odgłosem dalekiej kanonady. Chłopi przychodzący ze wsi zapewniali, że w górach całkiem wyraźnie słychać strzały armatnie. Wciąż mówiło się: „Jeszcze tydzień, jeszcze kilka dni". A dni mijały, coraz bardziej dłużące się i coraz więcej niosące z sobą ukrytej, niewiadomej groźby i niepokoju. Wlokły się ponad ludźmi, w których podniecenie i radosne oczekiwanie tępiało równolegle do hamowania się rozpędu ofenzywy. Wszystkie te dni, mające już na pewno przynieść wyzwolenie od śmierci, straszliwego koszmaru tłoczącego od pięciu lat piersi nawet najodważniejszych, minęły i na mieście ukazały się obwieszczenia: cała ludność do kopania okopów! Mężczyźni do sześćdziesięciu lat, kobiety do pięćdziesięciu! Za sabotaż kara śmierci!

SS-mani z ponurymi gębami chodzili od domu do domu, kontrolowali w „kennkartach" daty urodzenia i szukali tych, którzy się nie zgłosili do pracy. Czwartego dnia znaleziono szewca siedzącego sobie spokojnie na stołeczku i wbijającego kołki w obcasy.

— Swoie własne buty naprawia, swoje własne buty, bo nie ma w czym pójść do okopów, ludzie, bądźcie ludźmi! — lamentowała żona szewca, który powoli z wahaniem przestąpił próg, gdy mu Niemiec rozkazał iść przed sobą. Na podwórzu SS-man strzelił idącemu w głowę, po czym nie zatrzymując się wcale, wyminął trupa i poszedł do następnego domu kontrolować „kennkarty".

Teraz odrazu wszystko dokoła stało się znowu straszne i niezrozumiałe, jak gdyby cała nadzieja rozwiała się nagle. Ojciec nie chciał wierzyć. Powtórzył kilkakrotnie.

— Jak to? Tak zastrzelili go na własnym podwórzu, za to, że nie poszedł do okopów? Jak to, jak to?

Ale po tym nabrał energii. Kazał matce wyjąć pościel ze schowka tapczana i odrazu spróbował, czy się sam tam zmieści.

— Tu będę się chował zawsze, gdy ktoś zapuka do drzwi. Na Boga, to przecież naprawdę już długo nie potrwa; jak tylko rozpocznie się nowa ofenzywa, to tutaj u nas, do trzech dni będzie po wszystkim!

Ojciec mówił głośno, patrząc na Masię, jakby ją specjalnie pragnął przekonać, jakby ją właśnie chciał natchnąć nową otuchą. Ale Masia stała ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w okno; nie mogła patrzeć, jak ojciec kładł się do tego tapczana, zagryzała wargi, aby się nagle, po dziecinnemu, na głos nie rozpłakać — a matka czyniąc ramionami dziwny, bezradny, skarżący się ruch, westchnęła cicho.

— O, Boże, Boże, zmiłuj się nad nami!

Teraz już wieczory nie były upragnionymi chwilami odprężenia po ciężkich, denerwujących dniach. Nie prowadzono już rozmów, po których zasypiało się spokojnie, z wiarą w przyszłość — rodzice patrzyli w milczeniu na podłogę i wyglądali zupełnie jak ludzie bardzo, bardzo znużeni. Czasem w łóżku brał ojciec gazetę i odczytywał na głos krótkie wzmianki o powstaniu warszawskim.

— Bohaterzy... bohaterzy... — szeptał jakby do siebie i nerwowo przesuwał pięścią po kołdrze, a Masia wtedy przyciskała twarz do rogu poduszki mokrego od łez.

Po południu wracała Masia z tajnego kompletu i przynosiła wiadomości usłyszane od koleżanek. Niemcy zastrzelili przed kościołem organistę, któremu pilnujący robotnik Todt-owiec pozwolił przyjść do pracy dopiero po nabożeństwie. W czasie mszy zjawili się SS-mani, ściągnęli organistę z chóru i pod drzwiami kościoła zastrzelili. Innego dnia zastrzelono jakiegoś młodego chłopca za to, że chciał zrobić kolegom na tle wykopanych rowów zdjęcie fotograficzne. Od pracy w okopach, z zimna i wilgoci, dostawali wszyscy na rękach i nogach jakichś bolesnych, nie gojących się wrzodów. W nocy przyszli do miasta „leśni ludzie", rozbili kilku Niemców, kwaterujących samotnie po domach i rozlepili na słupach odezwy: „Polacy! Przeżywamy ostatni etap bohaterskiej walki z wrogiem. Zwycięstwo nasze zbliża się już wielkimi krokami. Niech żyje Polska!".

Był już koniec listopada i niespodziewanie upadł pierwszy śnieg — odrazu obfity, puszysty i miękki. Sypał nieprzerwanie od rana i układał się na dachach i ulicach coraz grubszą warstwą, jakby to już była naprawdę zima. Dolna granica wieku obowiązanych do kopania okopów została obniżona. Masia była tak wątła i drobna, że rodzice po prostu musieli się śmiać, wyobrażając ją sobie przy tej pracy, ale trzeba było zanieść świadectwo lekarskie do zatwierdzenia w komendzie miasta. Gdy potem Masia zapukała w umówiony sposób, aby było wiadomo, że to swój i że ojciec nie potrzebuje się kryć — i weszła ośnieżona cała, uśmiechnięta, jakby uradowana tym śniegiem — najpierw zawołała:

— Spotkałam Jasia Zawieję; o tym, że on jest w lesie wiedzą tylko zaufani, więc powiada, że mógł bez wielkiego ryzyka odwiedzić rodzinę. Pytał, czy chcę pójść tam do nich, może mnie jeszcze dzisiaj zaprowadzić, mówi, że są tam specjalne kobiece kompanie. Ale ja jestem jeszcze za młoda, niestety, nie przyjęliby mnie.

Na świadectwie lekarskim, wyjętym przez Masię z torebki, przybita była wielka okrągła pieczęć z „ptaszkiem", a u dołu napisane było wyraźnie SS-Untersturmführer Günther Wende.

— Niemożliwe! — wykrzyknął ojciec i pobladł natychmiast — Co ty przeczytałaś?

— SS - Untersturmführer Gunther Wende.

Dopiero potem, gdy ojciec opowiedział raz jeszcze swoją przygodę, która go zmusiła do ucieczki, gdy im przypomniał wszystko — nawet Masia zrozumiała, w jak wielkim, w jak strasznym niebezpieczeństwie obecnie się znajdowali.

— Oni wtedy przyjechali na likwidację Żydów — mówił ojciec głosem, w który Masia wsłuchiwała się teraz jak w coś bardzo, bardzo drogiego, — ghetta tam nie było, tak mordowali tych ludzi po wszystkich ulicach miasta. Do naszego biura przyszedł w jakiejś sprawie oficer SS. Był bardzo uprzejmy, podał mi rękę i przedstawił mi się untersturmführer Günter Wende. Tak odrazu dobrze zapamiętałem to nazwisko, jak bym coś przeczuwał. Potem spotkałem go na ulicy. Stał nad trupem znajomego mi Żyda, starego już bardzo lekarza. Poznał mnie, zaśmiał się i zawołał łamaną polszczyzną: „Widzisz, pan, pijany po weselu leży!" i kopnął leżącego przed nim trupa. Wtedy... sam nie wiem, co mi stało, zawsze przecież lubiałem postępować rozsądnie, uchodziłem za człowieka zrównoważonego, lecz w tym momencie nagle uczułem coś, jakby mi fala krwi oczy zalała. Przyskoczyłem do Niemca i z całej siły, zdaje się, że mi wtedy nawet siły przybyło — trzasnąłem go w pysk. Mój Boże, skutki tego czynu są dla mnie dosyć straszne, ale nie żałuję tego, w głębi serca nie żałuję. To było jednak coś warte dla takiego butnego szwaba, gdy mu Polak publicznie dał taką odpowiedź na jego bydlęctwo — to było coś warte, prawda? — powtórzył ojciec i wszyscy mimowoli uśmiechnęli się.

— Masiu, pójdziesz zaraz po tego Jasia Zawieję — powiedział nagle ojciec, a Masia odrzekła poważnie:

— Myślałam to samo.

Tylko matka przestraszyła się tej decyzji.

— Bójcie się Boga!

— No co, chyba przez ten ostatni miesiąc, najdłużej przez miesiąc, wolno mi być prawdziwym żołnierzem! Nic mi się tam nie stanie, to jest dla mnie jedyny ratunek.

— Co za pech, co za nieszczęście! — biadała matka — najpierw ofensywa stanęła nim zdołała dotrzeć do nas, potem ten sam Niemiec akuratnie tutaj... o, Boże!

Ojciec przestał chodzić po pokoju i stanął na środku — przez chwilę wydawało się Masi, że jakby urósł.

— To nie pech — powiedział — to nie nieszczęście. To samo cały świat przeżywa. To dlatego, aby walka była ciężka. To zwycięstwo, które nie przychodzi łatwo. To po to, aby ono było jeszcze większe, jeszcze potężniejsze.

Wieczorem, późnym już wieczorem poszli. Ojciec prosił:

— Nie wychodźcie za nami, tylko nie wychodźcie, bo to może zwrócić czyjąś uwagę.

Pierwszy wysunął się za drzwi Jaś Zawieja a za nim ojciec z wypakowanym plecakiem na plecach. Wyszedł prędko nie oglądając się i zatrzasnął drzwi za sobą. Masia zgasiła w pokoju światło, a matka odsłoniła okno. Przez szybę i przez duże płaty padającego wciąż śniegu widać było oddalające się szybko ulicą dwie ciemne postacie, aż do chwili, gdy znikły nagle za zakrętem.

— Tak jakby ich ten śnieg zasypał — szepnęła Masia do matki i obie, przytulone do siebie, z czołami na szkle szyby, dwie opuszczone kobiety, wahające się między bólem i rozpaczą z powodu tego odejścia a nową nadzieją, którą to odejście dawało — rozpłakały się bezradnie.

Nowe filmy radzieckie „Admirał Nachimow" i „Glinka"







Film radziecki szuka ostatnio nowych tematów w przeszłości historycznej, i to bynajmniej nie tak odległej jak epoka Iwana Groźnego lub Piotra Wielkiego, lecz w dziejach Rosji 19-go stulecia lub z początków 20-go wieku.

Ale taki film historyczny jak „Admirał Nachimow" nie jest wyłącznie apoteozą patriotyzmu i bohaterstwa marynarza rosyjskiego, walczącego z obcym najazdem, lecz jest pełen aktualnych aluzji politycznych, szczególnie dotyczących stosunków rosyjsko-tureckich.

Jak wiadomo, historia stosunków rosyjsko-tureckich zna wiele zwycięstw oręża rosyjskiego nad Turcją, a między innymi słynny bój morski pod Synopą. Bitwa ta jest doskonale pokazana w filmie „Admirał Nachimow", który w całości jest jednym z najlepszych radzieckich filmów historycznych, wyprodukowanych ostatnio.

Reżyserował „Admirała Nachimowa" Pudowkin.

Film historyczno-biograficzny, poświęcony wielkiemu muzykowi rosyjskiemu 19-go wieku, Glince, jest dziełem wybitnego reżysera radzieckiego Ermlera. „Glinka" jest opowieścią o ciernistej drodze kompozytora, który podjął walkę ze skostnieniem oficjalnej sztuki, popieranej przez dwór carski; Glinka walczy o odnowienie muzyki rosyjskiej przez wprowadzenie czynników muzyki ludowej, odświeżającego strumienia ludowej kultury.

W obydwu filmach: „Admirale Nachimowie" i „Glince" właściwym bohaterem jest lud rosyjski, z którego głębin czerpali siły do walki o lepszą dolę swej ojczyzny najlepsi synowie Rosji.

Obydwa filmy są również dowodem głębokiego zainteresowania i czci, jaką żywi społeczeństwo radzieckie dla szlachetnych tradycji historycznych i kulturalnych swego państwa. (G)





Ilja Erenburg – BIALI i CZARNI

Ludzie, którzy przyjeżdżają z Europy, szybko się zmieniają: Ameryka umie przetapiać umysły i serca. Naród amerykański utworzył się z pomieszania różnoplemiennych przybyszów. Liczni emigranci zachowali jeszcze ojczysty język. Wychodzą tu gazety w dziesiątkach europejskich języków: włoskie, polskie, niemieckie, hiszpańskie, rosyjskie, serbskie, żydowskie, ukraińskie, czeskie i inne. Koło Chicago są całe rejony, w których nie usłyszysz innego języka niż niemiecki. Nazwy miast świadczą o ich pochodzeniu: jest tu swojski Londyn, kilka Rzymów, cztery Moskwy, Newcastel. Każda grupa narodowościowa zachowała swoje odrębności; ale dzieci imigrantów, nie mówiąc już o wnukach, czują się Amerykanami. Asymilację wydatnie przyśpiesza fakt, że do Ameryki przybywają ludzie, którzy u siebie w ojczyźnie wszystko stracili; nawet, jeśli nowy dom nie przypada im do gustu, rozumieją, że nie ma dla nich powrotu, wmawiają więc w siebie, że dostali się do Ziemi Obiecanej.

Mogłoby się wydawać, że w tej różnoplemiennej krainie, zjednoczonej młodym patriotyzmem, powinna panować równość narodowa. Tymczasem nie znająca feudalizmu Ameryka zaprowadziła u siebie inną hierarchię: rasową.

Arystokracja — to Anglicy, Szkoci, Irlandczycy; za nimi idą Skandynawcy i Niemcy; potem — Francuzi i Słowianie; o wiele niżej — Włosi, jeszcze niżej Żydzi i Chińczycy, jeszcze niżej — Portorikanie; a w końcu — na samym dole drabiny — murzyni.

Amerykanie lubią pić mieszanki z rozmaitych mocnych napojów—t. zw. coctaile. Coctailów jest wiele; jeden przypomina tęczę: likiery — żółty, szmaragdowy, malinowy — nie mieszają się w kieliszku, układając się w różnokolorowe warstwy. Często myślałem o tym coctailu, widząc rasowe warstwy Ameryki. Jakie to dziwne, że idea „czystości rasowej" ma najzagorzalszych wyznawców właśnie w kraju, którego siła polega na zmieszaniu się różnych plemion! Można coctaile lubić albo nie, ale trudno wyobrazić sobie barmana, przygotowującego mieszanki, który upiera się przy czystości, organiczności i trwałości zrobionego przez siebie napoju. A oto w Ameryce widziałem wielu rasistów, głoszących wyższość „rasy amerykańskiej" nad wszystkimi innymi narodami.

W wojnie z hitlerowskim rasizmem Ameryka odegrała poważną rolę, a jednak rasizm istnieje tutaj legalnie. W wielu dokumentach jest rubryka — do jakiej rasy człowiek należy: „białej" czy „kolorowej". Jeżeli ktoś ma „kolorowego" dziadka, to i sam jest „kolorowy" i podlega licznym ograniczeniom. Byliśmy gośćmi rządu amerykańskiego, i nieraz uśmiechałem się na myśl, co by zrobili przedstawiciele Departamentu Stanu (ministerstwa spraw zagranicznych), gdyby tak przyjechał do Ameryki Aleksander Puszkin.

Byłem w Nasheville u pewnego adwokata, który mnie długo przekonywał, że istnieją „rasy niższe i wyższe". Powtarzał teorie Rosenberga i innych ideologów Trzeciej Rzeszy. Następnie pokazał mi portret swojego brata, który zginął nad Renem. Powiedziałem: „To gorzka ironia historii — brat pana zginął walcząc przeciwko teorii, którą pan wyznaje". Adwokat wzruszył ramionami: „Mój brat zginął za Amerykę".

Antysemityzm to w Ameryce zjawisko powszechne; wielu tego nie zauważa, wydaje się im rzeczą naturalną, że ten czy inny przedsiębiorca przyjmuje tylko „aryjczyków", albo że istnieją hotele, gdzie nie przyjmuje się Żydów. Pewien Amerykanin powiedział mi: „To nic strasznego — jeżeli Żyda tu nie przyjmą, to znajdzie pracę gdzieindziej. Nie wpuszczą go do jednego hotelu — pójdzie do innego. Na szczęście, mamy dość komfortowych hoteli". Czy może taki Amerykanin zrozumieć, że oprócz komfortu jest jeszcze godność człowiecza?... Rasizm w Nowym Jorku musi się maskować, ale to maskowanie się nikogo nie oszuka. Nie wolno, na przykład, napisać: „Hotel „Victoria". Żydom wstęp wzbroniony". Pisze się więc inaczej: „Hotel „Victoria". Ograniczona klientela, kościół blisko". Wszyscy dobrze wiedzą, co znaczy ta formułka i Żyd już do „Victorii" nie zajdzie. Żyd również dobrze wie, że jeziora, znajdujące się w stanie Kentucky są bardzo malownicze, ale niebezpieczne: kąpać się w nich mogą tylko „Aryjczycy".

W Nowym Jorku mieszka dwa miliony Żydów; są wśród nich biedni i bogaci, znakomici i nikomu nie znani. Według konstytucji są to pełnoprawni obywatele, ale w każdej chwili odczuwają skutki rasowej dyskryminacji. Na wielu uniwersytetach istnieje (oczywiście w formie zamaskowanej) „norma procentowa". W niektórych dzielnicach za nic nie wynajmą mieszkania rodzinie żydowskiej. Rzadko przyjmuje się Żyda do służby państwowej.

Na Zachodnim Wybrzeżu znajdują się pariasi — to Chińczycy, nie wpuszcza się ich ani do domu, ani do hotelu, ani do restauracji. Istnieją kluby i stowarzyszenia, do których nie może przeniknąć Włoch — to przecież także przedstawiciel „niższej rasy". Wyjątkowo tragiczny jest los murzynów; jest ich w Stanach Zjednoczonych przeszło dwanaście milionów i kiedy Amerykanie mówią o swoich prawach, możemy odpowiedzieć, że jeden Amerykanin na dziesięciu pozbawiony jest najzwyklejszego prawa — być człowiekiem.

W Waszyngtonie pewien wytworny Amerykanin, właściciel jachtu, zaprosił nas na przejażdżkę po Potomaku. Krajobraz był idylliczny. Ujrzeliśmy w łódce murzynów. Żona właściciela jachtu powiedziała: „Widzicie, im nikt nie zabrania jeździć po rzece"... Myślała, że ja się rozczulę, ale wpadłem w gniew i wypaliłem jej wszystko, co sądzę o ucisku rasowym.

Nowojorczycy lubią podkreślać liberalność Północy: „Nasi dziadkowie walczyli przeciw niewolnictwu". W miastach Północy i Południa stoją pomniki, wystawione żołnierzom, którzy zginęli w wojnie 1861—1865 r. Południowcy sławią „obrońców wolności" (to jest niewolnictwa), zaś mieszkańcy północy — „zwycięzców". Tak, na polu walki zwyciężyła Północ, armie właścicieli niewolników zostały rozbite. Ale nie jeden raz w podróży po Ameryce zdawało mi się, że zwyciężyli zwyciężeni: Południe nie tylko zachowało wszystkie nawyki niewolniczego ustroju, ale przekazało je jeszcze Północy.

„Instytut dla poznania opinii publicznej" przeprowadził niedawno ankietę: czy należy pozostawić „kolorowym" równouprawnienie w pracy (tylko w pracy)? 34% odpowiedzi było za ulżeniem nietolerancji rasowej, a 56 proc. za jej całkowitym utrzymaniem.

Prześladowcy zarazili rasizmem nawet prześladowanych. Wśród murzynów istnieje swoista arystokracja — mulaci. Słyszałem, jak pewien murzyn mówił o murzynce: „jestem jej niegodny.. ona ma prawie białą skórę..." Spotykałem murzynów-antysemitów i Żydów, którzy wierzą w wyższość białej barwy ciała nad czarną.

* * *

Często uciekałem z centrum Nowego Jorku do Haarlemu. To miasto murzynów, czarne ghetto. Dość tam jest błota i nędzy, a mało wspaniałej amerykańskiej techniki. Lecz ludzie tam są weselsi, prostsi, bardziej ludzcy, tłum na ulicach Haarlemu przypomina tłum południowo europejskiego portu. Murzyni mieszkają w Haarlemie dlatego, że w innych dzielnicach nie wynajmuje im się mieszkań; kąt w Haarlemie kosztuje więcej, niż przyzwoity pokój w innej dzielnicy. Murzyni mieszkają w Haarlemie, a rano udają się do pracy do „białych" dzielnic: są zamiataczami i windziarzami, posłańcami i zdunami, stróżami i murarzami. Są czarni, należy im się więc czarna praca. Ich wyzyskują, nimi pomiatają, nad nimi się znęcają.

Teoretycznie istnieje w Nowym Jorku rasowe równouprawnienie. Nie wolno wypędzić murzyna z restauracji, mówiąc do niego: „Proszę wyjść, dlatego, że jesteś murzynem". Ale można powiedzieć: „Wszystkie stoliki zajęte", nawet, jeżeli wszystkie stoliki są wolne. Prawo prawem, ale do przyzwoitej amerykańskiej restauracji murzyna się nie wpuści. Chciałem zaprosić znajomych murzynów — dziennikarza i muzyka — do siebie, mieszkałem w hotelu na czternastym piętrze, uprzedzono mnie, że murzynów nie przewiezie się windą, powie się im, że jest zepsuta.

Nowy Jork uważa się za najbardziej postępowe miasto Ameryki, byłem w redakcji jednego z najbardziej postępowych pism tego najbardziej postępowego miasta. Redaktor, chcąc mnie olśnić swoją postępowością, powiedział: „U nas pracują także murzyni, zaraz panu przedstawię jednego — i wskazał murzyna-gońca.

Zaprzyjaźniłem się z murzynami, są to ludzie nie tylko serdecznej dobroci, lecz również tego żywiołu, który jest mi droższy nad wszystko — sztuki. W Ameryce jest dużo dziwów, jest tu wszystko, a więc i sztuka — najwspanialsze muzea, największe orkiestry symfoniczne, największe wydawnictwa literatury pięknej. Lecz w Nowym Jorku wkrada się w serce tęsknota. Przypomina mi się urocza bajka Andersena o bogdychanie i słowiku. Władcy Chin podarowano zabawkę, mechanicznego słowika, śpiewał równie dobrze, jak prawdziwy, przy tym zawsze był pod ręką i śpiewał nie kiedy mu się chciało, ale kiedy nakręcano mechanizm. Ale oto nadeszła śmierć i stanęła nad opuszczonym bogdychanem. Ten chciał zagłuszyć jej głos, lecz napróżno prosił mechanicznego słowika: „Śpiewaj" — mechanizm się zepsuł. Uratował bogdychana żywy słowik, którego dawno wygnał ze swojego ogrodu. Murzyni to żywe słowiki Ameryki. I kiedy tęskniłem za sztuką, uciekałem do zadżumionego Haarlemu. Murzyni to najlepsi muzycy, najlepsi śpiewacy, najlepsi tancerze, najlepsze mimy. Są obdarzeni wysokim poczuciem rytmu, nie ma w nich mechaniczności. Gdy grają, wydaje się, że martwy powstanie. Ich pieśni są smutne, jak ich los, lecz nagle dziecięcy uśmiech przebija się przez smutek, i nigdzie tak się nie weselą, tak nie cieszą się życiem, jak w dziurach Haarlemu.

W centrum Nowego Jorku istnieją teatry, w których występują murzyńskie zespoły, grają wspaniale i biali chętnie je oklaskują. Ale jeżeli murzyn aktor zechce przekąsić w sąsiedniej restauracji, najspokojniej w świecie wyprowadzi się go. Nowy Jork nie przeżył jeszcze śmiertelnej tęsknoty bogdychana — żywy słowik jest jeszcze na zesłaniu...

* * *

W Departamencie Stanu zapytano nas, jaką część Ameryki chcielibyśmy obejrzeć. K. M. Simonow odpowiedział, że interesuje go kino, dlatego chciałby trochę posiedzieć w Hollywood. Generała Gałaktionowa redakcja jednej z największych gazet zaprosiła do Chicago. Kiedy wypowiedziałem słowo: „Południe", Amerykanie zamilkli, następnie zaoponowali, że to daleko i nie dość komfortowo. Odpowiedziałem, że z Moskwy do Waszyngtonu jest dalej, niż z Waszyngtonu do Missisipi i że byłem korespondentem wojennym — po ziemiankach i schronach nie obawiam się już braku komfortu. Chciałem przyjrzeć się Południu—i dlatego, że odrazu przypadli mi do serca murzyni, i dlatego, że pamiętałem książki, które czytałem w dzieciństwie — o nieszczęsnym losie czarnych i dlatego, że lubię powieści współczesnych pisarzy amerykańkich — Folknera i Steinbecka, poświęcone Południu.

Południe obiecał mi pokazać południowiec, syn admirała, lewicowy dziennikarz Hilmor. Miał on dobrego „Buicka" i kilka tygodni wolnego czasu. Rozmawialiśmy po francusku. Departament Stanu wysłał ze mną redaktora pisma „Ameryka", p. Nelsona. Z nim rozmawiałem po rosyjsku. W drodze przyłączył się do nas jeden z najpopularniejszych dziennikarzy nowojorskich, Sem Grafton, który chciał napisać kilka reportaży o spotkaniu radzieckiego pisarza z południowymi właścicielami niewolników. Z Graftonem rozmawiałem po niemiecku. Moim towarzyszom podróży zachciało się zwracać do siebie na rosyjską modłę, po imieniu i imieniu ojca: Bill Benedyktowicz Nelson, Daniel Horacjewicz Hilmor. Sem Noenowicz Grafton, wchodząc do lepianki, w której gnieździły się trzy murzyńskie rodziny, zawołał: „Nie przypuszczałem, że to jest możliwe!..." Powiedziałem mu wtedy: „Nareszcie wuj Sam spotkał się z wujem Tomem".

Pociąg. Wygodne, na wpół puste wagony, biali piją whisky i drzemią. Przepełniony wagon—to czarni. Ulewny deszcz, przystanek tramwajowy. Nadchodzi wagon. Pusty, ale murzynka z dziećmi zostaje pod ulewą, gdyż miejsca wydzielone dla murzynów, są zajęte. Park, napis: „Kolorowym wstęp wzbroniony". Sklep obuwia — murzyn winien dobrać sobie buty, nie przymierzając ich — po przymierzeniu butów przez murzyna nie wolno ich zaofiarować białemu. Tyle naopowiadali mi Amerykanie o swojej wolności druku, sumienia, poruszania się! Niestety zapomnieli o wolności przymierzania butów...

We wszystkich południowych stanach obowiązuje prawo o „podziale ras", tutaj dyskryminacja rasowa to nie zwyczaj, ale państwowe prawo. Murzyni nie mogą uczestniczyć w zebraniach białych, nie wolno im wejść do kościoła, w którym modlą się biali, nie mogą oczywiście, nawet i marzyć o teatrach czy kinach dla białych.

Objechałem cztery stany. Tennessee, Alabamę, Missisipi i Luisianę, widziałem wiele rzeczy wspaniałych: i budownictwo w dolinie Tennessee, gdzie wyrosły wspaniałe miasta z wygodnymi wiejskimi domkami i stare osobliwości Nowego Orleanu i góry i szerokie rzeki i lazur zatoki Meksykańskiej. Ale na każdym kroku widziałem to, co jest najstraszniejsze: znieważanie człowieka przez człowieka. Na Południu jak i na Północy są wspaniałe dworce. Chciałbym rozsławić krainę, w której tyle zrobiono, aby ulżyć powszedniemu życiu człowieka, ale nie mogę sławić tego kraju: na wspaniałych dworcach widziałem cuchnące ciemne chlewy z szyldzikiem: „Dla kolorowych". Zaprosił nas do siebie właściciel plantacji bawełny. Mieszkał w pięknym domu, otoczonym starymi drzewami. Miał żonę, strojną i białą, dzieci białe i strojne. A w koło pracowali spoceni czarni niewolnicy. W domu plantatora były wszystkie wspaniałości Ameryki: od silnego aparatu radiowego, który odbierał Taszkient, Melbourn i Andorrę, do wirującego wentylatora. Wypowiedziałem się o mękach murzynów. Plantator, uśmiechając się, odpowiedział, że nie należy podchodzić do murzynów, jak do ludzi: „To raczej bydlęta"... Ani radio, ani wentylator nie wpłynęły na rozwój umysłowy tego właściciela niewolników. Odchodząc od niego, powiedziałem do moich towarzyszy: „To nie człowiek, to raczej bydlę"...

(d. c. n.)



„Tylko dla murzynów".



Aleksander Maliszewski

KTÓRA GODZINA?

Która godzina? — Spojrzyj na zegarek i odpowiedz.

Pomyśl — dzisiaj życie nasze jest nie do pomyślenia bez zegarów, przypominających nam o obowiązkach, regulujących naszą codzienność i nasze święta, pracę i odpoczynek. Niezawsze tak jednak było. Niezawsze człowiek umiał odpowiedzieć odrazu na proste pytanie: „Która godzina?"

Długie i stare są dzieje zegarów. Myślę, że najpierwszym zegarem człowieka było słońce. Według wschodów i zachodów nauczył się regulować czas. Długością cienia, który rzucało drzewo, nauczył się człowiek dawny określać porę dnia. Dopiero na kilka stuleci przed narodzeniem Chrystusa ktoś wpadł na pomysł, że jeżeli cień zawsze o tej samej porze dnia jest w tym samym miejscu, to możnaby miejsce to oznaczyć na stałe i jakoś nazwać. Tak powstała pierwsza tarcza zegara. Niewiadomo, w której części globu, niewiadomo, w którym społeczeństwa, powstał pierwszy zegar słoneczny. Kroniki wspominają o Chinach, ale nie tylko o Chinach. W każdym razie pierwszy przyrząd, specjalnie zbudowany do mierzenia czasu, powstał na dwieście lat przed narodzeniem Chrystusa.

W owym mniej więcej czasie znane były w Chinach nie tylko zegary słoneczne, ale i... słoneczne zegarki kieszonkowe. Tak. Były to, na przykład, sztylety z podziałką na ostrzu, a garda, poprzecznie wmontowana, rzucając cień na ostrze, wskazywała ilość jednostek czasu do zachodu słońca.

„Niebawem", bo w kilka stuleci potem, słoneczne zegary zaczęły wychodzić z mody. Miejsce ich zajęły zegary wodne. Były dokładniejsze i miały nadto tę zaletę, że mogły mierzyć czas nie tylko we dnie, ale i w nocy.

Niektóre z nich miały konstrukcję bardzo skomplikowaną i były niekiedy sporymi budowlami o zagmatwanej sieci rusztowań i zbiorników. Opiszmy dwa najprostsze typy zegarów wodnych.

Obliczono więc, na przykład, że z takiego to a takiego zbiornika woda wycieknie w ciągu tylu to a tylu jednostek czasu. Nalewano wody i woda ciekła. A kiedy już naczynie było puste, „dyżurny" urzędnik obwieszczał wielkim głosem, że wodę znowu wlewa się do zbiornika. Tak więc po ilości zmian wody w ciągu dnia określano czas.

Ulepszony typ zegara wodnego wyglądał, jak następuje:

Zegar składał się z dwóch zbiorników — dolnego i górnego. Woda ściekała do naczynia dolnego zaopatrzonego w podziałkę, na której odczytywano tak zwaną godzinę.

Długość godzin była jednak inna, niż obecnie. Dopiero niejaki Hipparch z Nicei — sto pięćdziesiąt lat przed narodzeniem Chrystusa — zdołał obliczyć długość dnia i nocy w różnych porach roku, a w trzydzieści lat po nim Ktesibios z Aleksandrii zbudował pierwszy zegar z tarczą podzieloną na 12 godzin. Pisze o nim Vitruv i twierdzi, że Ktesibios skonstruował bardzo wiele zegarów, a były wśród nich i takie, które wydzwaniały godziny, a nawet grały. Trudno jest dzisiaj stwierdzić, czy Vitruv nie zapisał przypadkiem na rachunek Ktesibiosa wszystkich ówczas już istniejących konstrukcyj zegarowych. Mniejsza o to. W każdym bądź razie pamiętajmy, że to wszystko były jeszcze zegary wodne.

Wypada wspomnieć, że istniały również zegary ogniowe. Tutaj cała mądrość polegała na tym, że obliczono, na przykład, ile oliwy wypala się w ciągu jednostki czasu i na skali umieszczonej na lampie odczytywano „godzinę". Były i inne, bardziej skomplikowane konstrukcje, niekiedy aż zabawne w prostocie zasady, na której opierano cały mechanizm.

Zegary słoneczne, wodne, piaskowe, ogniowe służyły człowiekowi w ciągu wielu stuleci. W dziejach zegarów zbliżała się nowa era.

Niewiadomo dokładnie, kto pierwszy wpadł na pomysł zastosowania ciężarka przemyślnie połączonego z osią, poruszającą wskazówki. Galileusz znał już takie zegary, a było to między rokiem 1564-tym a 1642-im naszej ery. Tenże Galileusz miał być wynalazcą wahadła, ale historia dyplom wynalazcy przyznaje uczonym, żyjącym nieco później. Zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że pierwszy zastosował wahadło Chrystian Huygens, inni zaś przypisują ten czyn Polakowi, księdzu Adamowi Kochańskiemu, bibliotekarzowi króla Jana Sobieskiego, autorowi pracy pod tytułem „Mirabilia Chronometrica".



W każdym razie ksiądz Adam Kochański jest wynalazcą wahadła magnetycznego do zegarków kieszonkowych oraz tej części mechanizmu, który nazywano „włoskiem".

Rewolucją w dziejach zegarów była pierwsza sprężyna. Zastosował ją zegarmistrz norymberski Piotr Henlein, który zmarł na dziewięćdziesiąt lat przed urodzeniem księdza Kochańskiego, a więc w roku 1540-tym.

Wahadło, przekazujące energię mechanizmowi zegara oraz sprężyna stały się powodem wielkiego rozkwitu rzemiosła zegarmistrzowskiego. Budowano zegary — arcydzieła sztuki — zegary piękne i skomplikowane, ale już dokładnie mierzące czas. Dokładność osiągnęła granice doskonałości. Jako przykład, cytuję fakt, że w roku 1861 Anglik, nazwiskiem Harrison, zbudował zegar, który w ciągu osiemnastu miesięcy omylił się tylko o półtorej minuty. Rzeczywiście — doskonały zegar.

Dziś mamy zegary elektryczne, antymagnetyczne, ponoć nawet samonakręcające się — a obok nich uczciwie pracują nadal stare zegary z „wagami" i wahadłami, z kukułkami i zakonnikami... Która godzina? Spojrzyj na zegarek... A skąd wiesz, że jest właśnie ta?... Nastawiałem według radia... A skąd radio wie?... Regulowało według Obserwatorium Astronomicznego.. Teraz przymrużmy lekko lewe oko i zapytajmy z niewinną miną: A skąd wie Obserwatorium?...

Opowiem Wam anegdotę.

Rzecz działa się podobno na wiele lat przed pierwszą wojną światową. Wyspa na dalekim oceanie. Małe miasteczko. Turyście zepsuł się zegarek. Czy jest tu zegarmistrz? Jest. Nawprost apteki. Idzie. Siada wygodnie w fotelu i czeka na reperację. Nagle rozlega się wystrzał armatni. Zegarmistrz przerywa pracę i zaczyna biegać od zegara do zegara i przesuwać wskazówki.

— Cóż to takiego? — pyta turysta.

— Ten huk? Widzi pan — tłumaczy zegarmistrz — u nas jest zwyczaj, że codziennie punktualnie w południe nasza forteca daje salwę armatnią. Wtedy wszyscy regulujemy zegary.

— A skąd oni wiedzą, że jest południe? — pyta nudzący się turysta.

Zegarmistrz popatrzył na gościa i uśmiechnął się z godnością..

— Codziennie przed południem — rzekł — przyjeżdża do mnie na rowerze żołnierz, aby zobaczyć, która godzina...

A propos: — która godzina?



Ilustrował J. Witz.

S. O. S. — Pomóż!









FOTO - FILM POLSKI.

Przez most Poniatowskiego w Warszawie od rana do późnej nocy spieszą niezliczone tłumy, suną długie sznury pojazdów.

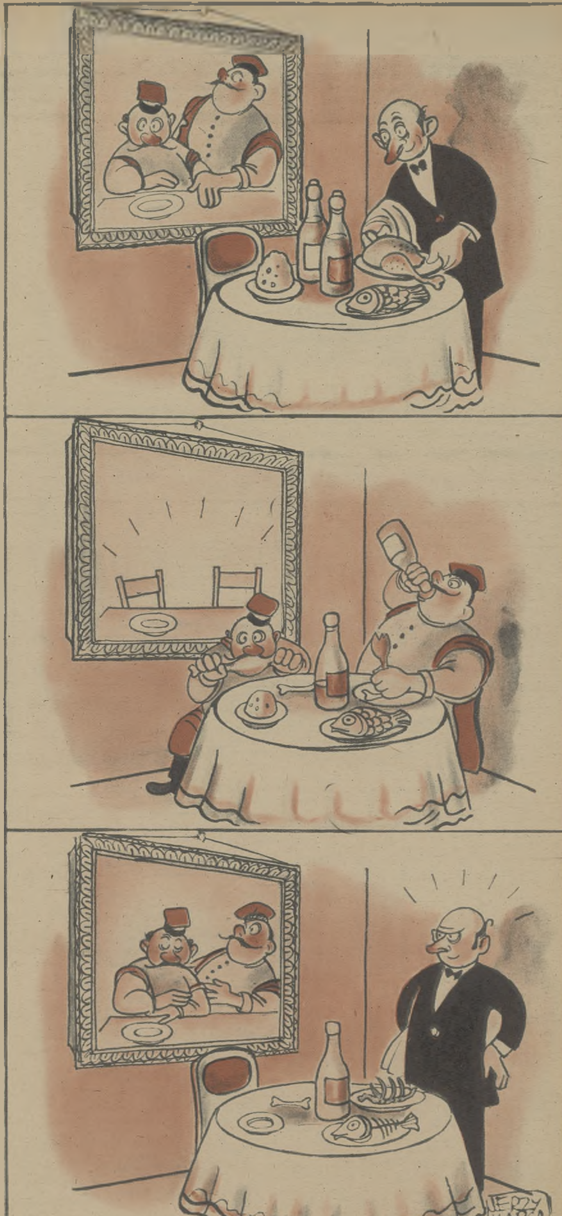
Na moście Poniatowskiego od rana do nocy jest tłoczno i ciasno. Zbyt wiele ludzi, zbyt wiele wozów. Co jakiś czas powstają zatory, zahamowania w ruchu. Warszawa rośnie z dnia na dzień. A został w niej tylko jeden most. Duży, wspaniały, ale jeden.

Potężna kra wiślana w pół godziny zerwała most wysokowodny. Budowany rękami saperów w pierwszym powojennym okresie, uległ temu samemu losowi, co wiele mostów w Polsce tej wiosny.

Powódź wiosenna uderzyła w cały kraj. Lista zniszczeń jest olbrzymia. Straty sięgają wielu miliardów złotych.

W akcji ratunkowej wzięło udział całe społeczeństwo. Wojsko, stowarzyszenia, partie polityczne, młodzież — wszyscy ruszyli na pomoc. Z całej Polski płyną dary dla ofiar powodzi. Każdy związek, każda instytucja, fabryka, szkoła, każdy człowiek pracy stara się w miarę swych najlepszych sił zmniejszyć ogrom klęski.

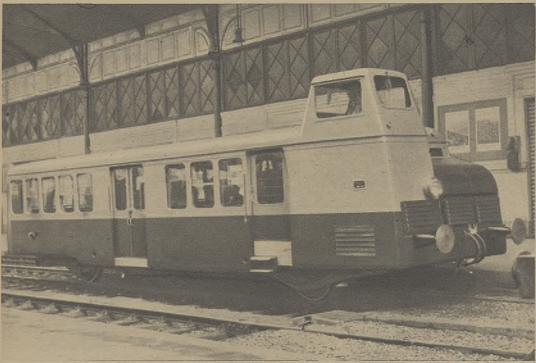
Klęska jest wyjątkowa, wielka i powszechna. W jej obliczu naród potrafi stanąć solidarnie i ofiarnie — i wyrównać poniesione straty.



NOWOŚCI TECHNIKI



Nowy typ czteroosobowego samolotu pasażerskiego w przelocie nad drapaczami chmur w Nowym Yorku.



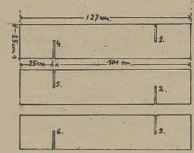
Nowy model wagonów elektrycznych, wyprodukowany przez francuskie koleje państwowe.

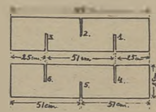


Prywatny koncern włoski „Volpy" wypuścił na rynek nowy typ samochodu — dla „naszych milusińskich".

PÓŁKĘ NA KSIĄŻKI ZROBIMY SAMI







Powojenne braki w umeblowaniu naszych mieszkań długo jeszcze zapewne będą się nam wszystkim dawać we znaki.

Od czego jednak nasza przysłowiowa polska pomysłowość? Potrafimy przecież „kręcić bicze z piasku" i urządzać się cudownymi sposobami w najgorszych warunkach. Takich „mebli", jakie zostały zainstalowane w naszych popowstaniowych mieszkaniach w pierwszym okresie po wyzwoleniu — mebli konstruowanych pomysłowo z drewnianych skrzynek i blaszanych puszek od konserw UNRRA nie znajdzie się z pewnością nigdzie na świecie...

Zapewne, dziś mieszkamy trochę lepiej. Mamy już naogół niezbędne minimum w postaci łóżka, szafy, stołu i krzeseł.

Pozostaje jednak z pewnością w wielu mieszkaniach a raczej pokojach — brak dotkliwy: szafki lub półki na książki.

Spójrzmy na rysunek: ta zgrabna półeczka, którą można powiesić na ścianie w najelegantszym pokoju wykonana jest ze zwykłych heblowanych deseczek domowym sposobem.

Dla wykonania powyższego modelu musimy przygotować deski o określonych wymiarach. Na deski poziome dobieramy 3 deseczki długości 127 cm. Na każdej z nich robimy po 2 nacięcia szerokości 1 cm. — każde w odległości 25 cm. od końca deski. Nacięcia te powinny dochodzić do połowy szerokości deski (wszystkie deski na półkę bierzemy szerokości 25 cm. i grubości 1 cm; zatem nacięcie powinno mieć 12,5 cm. długości). Nacięcia te można wyciąć odrazu we wszystkich trzech deskach, składając je razem jedna na drugą.

Skolei przygotujemy 2 deski o długości po 103 cm. każda. Złożymy je razem i zrobimy 3 nacięcia do połowy szerokości deski — dwa po jednej stronie i jedno nacięcie po drugiej stronie desek. Odległości między nacięciami będą wynosiły po 25 cm.

Gdy wszystkie deski będą gotowe — złożymy półkę zestawiając deski poziome i pionowe w taki sposób, ażeby nacięcia zazębiały się wzajemnie. Gdy półka jest złożona — umacniamy skrzyżowania desek kątownikami metalowymi (można kupić w sklepie żelaznym) przykręcanymi na śruby, ale tylko po tej stronie półki, która przylega do ściany.

Gotową półkę można politurować lub też pomalować olejną farbą i lakierem w ładnym, żywym kolorze.

Barbara

KEYSTONE-FOTO SAP.

POLSKA – SZWECJA 10:6

Ostatnie dni marca upłynęły w świecie sportowym pod znakiem boksu. Nic dziwnego — gościliśmy u siebie reprezentacyjną drużynę bokserską Szwedów, należało więc korzystać z niecodziennej okazji. Naszym bokserom, którzy już nie jeden raz pokazali, co umieją, bardzo to było na rękę.

W Gdańsku na ringu hali sportowej rozegrały się kolejno ciekawe walki między reprezentacją Wybrzeża (Stasiak, Czarnecki, Antkiewicz, Skierka, Chychła, Sobczak, Bork i Szymura) i szwedzką drużyną, w której skład wchodzili: Pahmp, Ahneloev, Ahlin, Fridell, Sundin, Karlson, Paterson i Tramk.

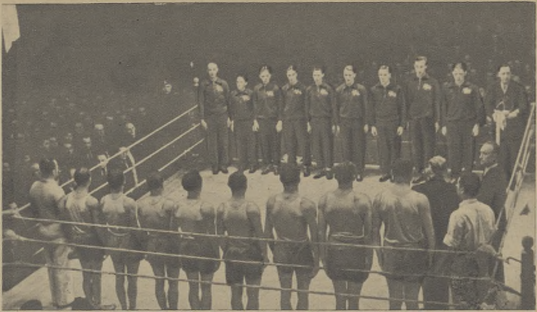
Mecz zakończył się zwycięstwem Polaków w stosunku 10:6. Najlepiej spisał się Chychła, który walczył z Ahneloevem, doskonale wytrenowym i silnym bokserem. Należy także wyróżnić Skierkę, którego ciosy były zdecydowane, jakby z góry obliczone.

Spośród Szwedów na największą uwagę zasługują: Ahlin (walczył z Borkiem), Sundin (— z Szymurą), Ahneloev (— z Chychłą) oraz Karlsson (— z Sobczakiem).

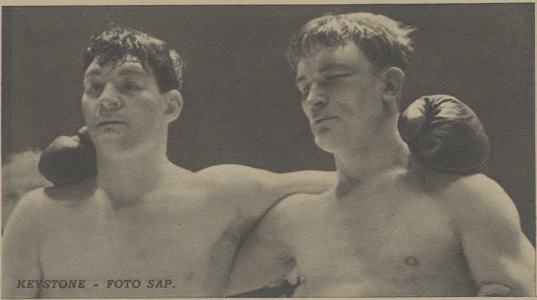
Drużyna szwedzka w tym samym składzie wystąpiła przeciw reprezentacji polskiej w Łodzi. Mecz przy dużej frekwencji publiczności odbył się w sali polskiej WIM-y. Tutaj również wygrali Polacy.

Dowiadujemy się, że Szwedzi mimo porażki, doznanej na ringu opuścili Polskę pełni zadowolenia. Z podobną szczerością i gościnnością — nigdy dotąd nie spotykali się.

W upominku otrzymali plakietę z inkrustowanym na niej statkiem „Dar Pomorza". W ten sposób Pomorze zasymbolizowało swoją wdzięczność wobec Szwecji za przechowanie przez okres wojny statku „Dar Pomorza".

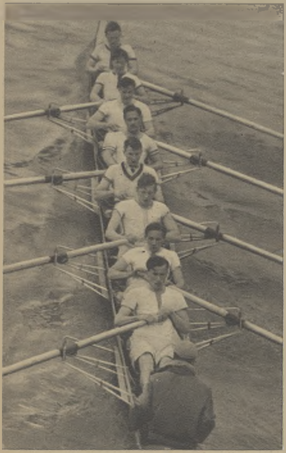


Mecz bokserski Polska—Szwecja: prezentacja drużyn



Mecz o tytuł mistrza Europy w wadze ciężkiej w Manchester: Bruce Woodcock i Stefan Olek po walce.

KEYSTON - FOTO SAP.



Załoga Cambridge trenuje przed tradycyjnymi zawodami.

OD REDAKCJI

W związku z licznymi zapytaniami naszych czytelników komunikujemy co następuje:

Kursy Przygotowawcze na wyższe uczelnie znajdują się w 10 miastach uniwersyteckich, a mianowicie:

w Warszawie — ul. Górnośląska 31
w Łodzi — ul. Piotrkowska 249
w Krakowie — ul. Słowackiego 48
w Wrocławiu — ul. Podwale Oławskie 1
w Lublinie — ul. Krakowskie Przedmieście 29
w Gliwicach — ul. Rybnicka 27
w Poznaniu — ul. Armii Czerwonej 1
w Toruniu — ul. Fredry 8
w Gdańsku — ul. Rokossowskiego 25
w Katowicach — ul. Bogucicka 3.

Każdy z kursów przygotowuje do Roku Wstępnego wszystkich wyższych uczelni.

Na Kursy Przygotowawcze przyjmowana jest młodzież, która ukończyła lat 20, pierwszeństwo mają robotnicy i chłopi. Warunkiem przyjęcia jest ukończona szkoła powszechna, przyjmowani są również ci, którzy ukończyli niższe klasy gimnazjalne a obecnie nie uczęszczają do szkół.

Kandydaci na Kurs Przygotowawczy przechodzą przez 3-tygodniowy kurs selekcyjny, na którym bada się zasób wiadomości, inteligencję oraz zdolności słuchacza.

Kurs Przygotowawczy trwa 6 miesięcy. W ciągu tego czasu przerabiany jest program w zakresie 4-ch klas gimnazjum.

Towarzystwo Przygotowawczych Kursów Uniwersyteckich stara się stworzyć odpowiednie warunki materialne słuchaczom Kursów.

W lutym b. r. rozpoczął się 2-gi turnus Kursu Przygotowawczego. Turnus 3-ci rozpocznie się we wrześniu lub październiku 1947 r. Zainteresowani winni w tym okresie śledzić za ogłoszeniami w prasie i w radio.

GIRO PIOTR, Brzozowa, poczta Jaświty Suchowola. Powyżej podajemy dokładne dane dotyczące Kursów Przygotowawczych. Odpowiedzi listownych udzielamy tylko w wyjątkowych wypadkach. Za pozdrowienia dziękujemy.

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. »PŁOMIENIE« * REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 6. TEL. 8-51-32 PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 225.– Z PRZESYŁKĄ DO DOMU WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA Nr I - 4252

Rotograwiura — Drukarnia Nr. 2. Sp. Wyd. „Czytelnik" — Warszawa. B-31116

UŚMIECH WIOSNY



FOTO-PIROTTE.